



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBURG.

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Nowy-Świat Nr. 1250 (nowy 55).

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidtów kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80. W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebów i Spół., kwartal. tal. pr. 1 sgr. 20.

OSIEROCONA LUTNIA

JAKÓBA BARTA

z łuzycznego przełożyła

Melania Parczewska.

Tam, gdzie srebrna płynie Szprewa,
Kędy szumią stare drzewa,
Tam do skały przyczepiona
Serbska lutnia rozżalona.

A gdy wietrzyk zaszeleści
Lutnią zbudzi jęk boleści,
I popłyną tęskne tony
W nadszprewiańskie łube strony.

Boże wielki! Ojciec ludu
Daj nam łaskę Twego cudu,
Zbudź do życia serbskie dzieci,
Duch Sejlera ¹⁾ niech im świeci.

Daj nam piewce, niechaj śpiewa
Narodowej pieśni słowa,
A pieśń taka jednobrzmiąca
Spłynie chórem z ust tysiąca.

Serbska lutni Sejlerowa!
Porzuć smutku, żalu słowa,
Ponad skały, ponad wody
Nuć Łużycom pieśń swobody.

MIŁOŚĆ CZY RACHUBA?

NOWELLA

przez

El - e m.

(Dalszy ciąg.)

Janina nie potrafiła zdać sobie sprawy z tego opowiadania, wygłoszonego już-to rzewnie, serdecznie, już-to gorączkowo, głosem dziwnym, nienaturalnym. Wiadomość o czynionych na jej gruntach poszukiwaniach wprawiła ją w podziw niesłychany. Ujechała wszakże naprzód kilkanaście kroków i podniosła się na siodło, usiłując dojrzeć miejsce i ludzi owych, czyniących poszukiwania.

— Szczególna rzecz, rzekła obojętnie— podjeżdżając do Konrada— zkąd się panu wzięła do tego ochota?... Człowiek, obliczający wszystko na zimno, jak może tracić czas, i zapewne duże pieniądze, na tak niepewne rzeczy?... I czegoż pan tu szuka?...

— Złota! łaskawa pani.

Janina wybuchnęła głośnym śmiechem.

— Złota? w naszym kraju?... Przepraszam pana, ale zaczynam powątpiewać o tem, czyś pan rzeczywiście skończył z odznaczeniem szkołę górniczą.

— Tak pani, złota czy węgla, torfu czy nafty, to wszystko jedno. Cokolwiek się znajdzie, równoważy się ze złotem; za wszystko zapłacę tym szlachetnym, błyszczącym, mile brzęczącym kruszcem. Złoto, ukochany metal! Ono mi zastąpiło rodzinę, nazwisko; ono mi dało wszystko to, czego mnie od urodzenia pozbawiła fortuna-macocha.

Dziś mojem powołaniem górnictwo, mojem zadaniem poszukiwania, a ideałem herb... ciołek... ale złoty!...

Janina poczęła z wolna odsuwać się od niego i przypatrywać mu się z pewnym przestachem; Konrad zaś wziął konia za uzdeczkę i, prowadząc go lekko, ciągnął dalej opowiadanie:

— Przypominam sobie jeszcze z lat dziecińczych, że według opowieści ludowej mają być wielkie skarby ukryte właśnie w tem miejscu, w którym dziś czynię poszukiwania. Jeżeli okaże się prawdziwą poetyczną baśń ludu, znajdziemy prawdopodobnie złoto, bądź w rzeczywistej postaci, bądź też w innej.

— A dla kogóż te wszystkie starania? *Pour le roi de Prusse*! mnie bowiem wywłaszczają z tej posiadłości.

— Wszystko jedno dla kogo, przedewszystkiem dla społeczeństwa, dla którego jest rzeczą obojętną, czy pani, czy kto inny będzie tych dóbr właścicielem. Każdy wejdzie chętnie w układy, gdyż zwykliśmy stawiać korzystne bardzo warunki.

Janina tłumila w sobie wzburzenie, które łagodziła chwilowem powątpiewaniem o tem, czyby towarzysz jej lat dziecińczych po tak długiej rozłące starał się jej przedstawić jako egoistę i spekulanta, któremu wszystko było jedno, czy ona, czy kto inny pozostanie w jej ojcowiznie i czy będzie miała gdzie oprzeć nad wiek już skolataną głowę?

— Lecz prawda, dodał nagle Konrad, co to dzieje się z interessami i majątkiem państwa! Czytałem obwieszczenie sądowe o licytacji.

— To już są i obwieszczenia?— westchnęła Janina— zbliża się chwila stanowcza.

— Kto jest ten pan Skarosz?

— Nie pytaj pan o niego— odrzekła, machnąwszy ręką rozpaczliwie.— Nie mogę o tym człowieku mówić spokojnie. Jest to wyrzutek ludzkości, klęska, zły duch mojego życia.

Westchnęła głęboko i po pewnej przerwie po-

¹⁾ Andrzej Sejler, ulubiony serbo-łuzyczny poeta zmarł 1872 r.

częła opowiadać, jak-to po śmierci jednego z sąsiadów majątek jego nabył na licytacji pan Florian Skarosz, który, osiedliwszy się też tam, dał się wkrótce wszystkim weznaki. Jednemu wytoczył stary proces graniczny, drugiego pośadził o kradzież drzewa z lasu i zaskarżył do sądu, a nawet zmienił u siebie koryto rzeczki i wszystkich naraził przez to na niepowetowane straty. Dla ojca jej okazywał pewne uszanowanie i począł go dość często odwiedzać.

— Miałam nieszczęście podobać się temu potworowi — mówiła — i to jest przyczyną wszystkich moich utrapień. Odmówił mi — dodała prędko, jakby odniechcenia. Ojciec mu tłumaczył, że jestem jeszcze zbyt młoda, że wreszcie przyrzeczoną jestem oddawna Alfredowi.

— Komu? — przerwał nagle Konrad.

— Hrabie Alfredowi... z Galicji.

— Nie wiedziałem nic o tem.

— Ojcowie nasi, gdyśmy małemi byli dziećmi, ułożyli sobie ten związek. Lecz i ta przyczyna nie była dla pana Skarosza wystarczającą. Ciągłe bywał u nas w tym samym celu, a nawet w kilka tygodni po śmierci ojca począł znów nalegać na mnie bez litości i w końcu prosić o pozostawienie mu nadziei. Odmówiłam wręcz i stanowczo; wówczas on począł wykonywać zemstę nieucziwą. Lecz nie wiem, czy pana obchodzić może to bolesna dla mnie opowiadanie; czas pański jest drogi: masz pan zapewne pilne zajęcia.

— Słucham panią i proszę sobie nie przerywać. Mam dziś czasu aż nadto wiele — odrzekł Konrad, trochę niezadowolony tym końcowym zwrotem rozmowy.

— Wiadomo panu, że choroba matki nieboszczki — jej i ojca wyjazdy za granicę, przytem ciągłe kłęski i nieurodzaje, spowodowały tak znaczną szczerbę w funduszach naszych, że ojciec zmuszony był hipotekę Kijan różnemi obciążać długami. Dla zdrowia matki żadnej nie szczędził ofiary, a zresztą i gospodarstwo wymagało znacznych wkładów. Po śmierci ojca postanowiłam ograniczyć się niemal we wszystkim i groszem z oszczędności gromadzonym spłacać wierzycieli. Pracowałam też i pracuję od świtu do nocy. Stary Grzymalski jest nadal moim rządcą i energiczną daje mi pomoc. Sama odrana objeżdżam pola, dozoruję robotników, doglądam wszystkiego: słowem, robię więcej, aniżeli sił mam potemu. Lecz p. Skarosz dowiedział się o długach obciążających dobrą nasze: i oto pewnego popołudnia otrzymałam akt sądowy, z którego wyczytałam, że on, jako nabywca wszystkich sum na majątku moim zabezpieczonych, żąda natychmiastowego ich zwrotu.

— I cóż pani uczyniła?

— Posłałam mu pewną część dłużnego kapitału, a od reszty procent, nawet lichwiarski. Nie przyjął, żądając wszystkiego i wystawił mi majątek na licytację. Od tej pory uważa się tu za pana, śledzi mnie na każdym kroku. Objężdża pola, lasy, rozpytuje się o wszystko, wtrąca się do wszystkiego, jakby to już jego stanowiło własność. Lecz żegnam pana, gdyż zdaje mi się, że nadjeżdża i śledzi nas oboje.

— Chwilkę jeszcze — rzekł Konrad, usiłując stłumić pewne drżenie głosu. Co pani poczniesz, gdy cię wydziedziczy ze wszystkiego?

— Alboż ja wiem, co pocznę. Pisałam do krewnych, by się starali dla mnie o pożyczkę i nie dopuścili do straty tak ładnego majątku; wątpię jednak bardzo, czy moje usiłowania jakkolwiek odniosą skutek. Na najgorszy zaś wypadek sprowadzę się do ciotki do Warszawy, jeszcze posiadam... Lecz, o nieba, to on. — Do widzenia!

To rzekłszy, uderzyła konia szpicrutą i galopem popędziła przez pola.

Konrad pozostał sam u skraju lasu; usiadł pod drzewem i ze spokojem a wielką ciekawością począł się przypatrywać, nadjeżdżającemu na dzielnym rumaku, wierzycielowi Janiny.

Był to mężczyzna chudy, szczupły, średniego wzrostu, twarzy kościstej, na której ospa przykre zostawiła ślady. Zpod niskiego, szarego kapełusza dojrzeć można było rude, gęste, roztrzepane włosy i małe siwe oczy. Spostrzegłszy Konrada, zatrzymał konia, spojrzał na niego bystro i krzyknął głośnie:

— Kto pan jesteś i czego o tej porze wałęsasz się po cudzym lesie?

Konrad, nie ruszając się z miejsca, wlepił w niego wzrok badawczy, spokojny.

Skarosz wrzał cały z gniewu.

— Kto jesteś!? — krzyczał piskliwie.

Konrad zachowywał ciągle spokój i milczał.

— Precz ztąd, bo wygnąć każę! — wrzasnął niecierpliwiony Skarosz, podnosząc nagle w górę szpicrutę.

Konrad wówczas gwałtownie zerwał się z miejsca, schwylił lewą ręką konia za cugle, a prawą porwał jeźdźcę za kołnierz, wysadził z siodła i powalił na ziemię. Było to dziełem jednej zaledwie chwili. Kon, przestraszony, pomknął do lasu, a jeździec począł krzyżeć drżącym od przestachu głosem:

— Gwałtu! rozbój! wójta! strażnika!

— Kto ja jestem? — krzyknął Konrad, unosząc się od gniewu i potrząsając swą ofiarą jak piórkiem. Kto ja jestem? — powtórzył — Silniejszy od ciebie; to winno być najlepszą rekomendacją. Czy to twój las, że mi po nim chodzić zabraniasz; twoje powietrze, że niem oddychać zakazujesz? Jaby cię za to zgniół na miazgę w mych żelaznych rękach, ty nędzny robaku! Wiesz więc teraz kto ja jestem! Co? Nie znasz mnie; wierzę; ale zato ja znam ciebie i twe wszystkie sztuki doskonale. Pamiętaj, że wara ci do niej... wiesz... i do jej majątku, psie obrzydliwy — i wiedz, że za każdą krzywdę wyrządzoną ludziom ze mną będziesz miał do czynienia. A teraz ruszaj prędzej i nie pokazuj mi się nigdy na oczy!

To rzekł i gwałtownie odepchnął go od siebie.

— O poczekaj, ty rozbójniku, krzyczał, uciekając zaperzony i wściekły Skarosz. — Mam świadków, tak, wszyscy widzieli — myślisz, że sami tu jesteśmy w lesie? I ciebie i tę intrygantkę w kajdany okuć każę...

— Ten łotr zmęczył mnie i wprowadził w dobry humor — rzekł, pozostawiając sam, Konrad, ocierając pot z czoła. Jak na pierwsze spotkanie, to otrzymał bardzo serdeczne uściśnienie. — Doskonała lekcyja, prawdziwie amerykańska! Lecz trzeba pójść do roboty.

Podniósłszy z ziemi otrzymaną od Janiny różę, pośpieszył przez las do miejsca, w którym czynione były poszukiwania.

— A jakże tam, moje dzieci? — zapytał, stanąwszy przed ludźmi, zajętymi wierceniem i kopaniem.

— Nareszcie doszukaliśmy się czegoś. Nie wiele-to tam wprawdzie, ale zawsze jest węgiel — odezwał się jeden z robotników i podał Konradowi niewielką czarną bryłę.

— Niewiele, powiadacie — odrzekł ze spokojem, a może znajdzie się go więcej?

— Być może, trzeba tylko, by pan jeszcze raz grunt zbadał.

— To już jutro uczynię. Dziś muszę śpieszyć i oczekiwać was będę w mieście. Czy konie dla mnie gotowe?

— Stoją tuż za lasem, na tracie.

Konrad zwrócił się do traktu prowadzącego do miasteczka. Szedł zamyślony, z głową w dół spuszczoną, trzymając w rękach różę i węgla kawał spory.

— To od niej — pomyślał, spojrzawszy na kwiat pachnący, a to dla niej — dodał — przypatrując się węglowi.

Myśli jego zaprzątnięte były tą biedną dziś kobietą, zawsze śliczną i zącą. Żałował, że tak szlachetna natura rozbijać się musi w walce powszedniej o byt osobisty, łamać orle skrzydła w izbie ciasnej i niskiej. Co za fatalna losu odmiana! Ona — pociecha i rozkosz rodziców, dziedziczka znakomitego imienia i znacznej fortuny — dziś sama i opuszczona, wypędzana zpod ojczystej strzechy a on, którego zwano dziecięciem śnieżnej zamieci, dziś silny i potężny! Ona z powodu nędznych kilkuset tysięcy złotych nieszczęśliwa — a on?

Przystanął w miejscu, obejrzał się i znowu wzrok jego dojrzał dwór murowany. Był to ten sam dwór okazały, stojący jakoby na uragowisko losu, który z jego właścicielki urządził sobie zwykłą w życiu ludzkim igraszkę. Na jego widok coś poczęło się burzyć w głowie Konrada, a myśl ulatywała w krainę złudnych, może nigdy nie-

ziszczonych marzeń. Usiłował też zastanowić się chłodno: czy pomimo zmiany losu, stopy jego nie dotykają brzegów tej samej, co i dawna, przepaści?

Rozważał coś w umyśle długo, rozumował i chciał koniecznie wyrozumować sobie to, co nie zawsze wyrozumować się daje. A tymczasem przed oczyma jego wyobraźni, jak przez mgłę, szybko przesuwać się poczęły coraz miłsze, coraz ponętniejsze przeróżnych wspomnień odbicia. Wiedział sam siebie, gdy płynął z nią łódką po małej rzeczulce i patrzył w jej, zielone jak jezioro, oczy; pamiętał, że dobrą była dla niego zawsze i że zwał go bratem; widział ją stojącą w białą sukienkę, gdy, z bukietem fiołków i poezjami Słowackiego w ręku, szukała go po krętych ścieżkach ogrodu, by w cienistej altanie czytać razem „Balladynę“ i „Maryą Stuart“...

Gdy zaś zniknęło to złudne zjawisko, z żalem i obawą zapytał sam siebie: — Czy wyrzec się mam tych złotych snów młodości — nazawsze?

A echo, czy przypędzone wiatrem oceanu, czy poruszone szumem rodzinnych dębów i jodeł, echo złowieszcze, odpowiedziało mu:

— Nazawsze!...

(Dalszy ciąg nastąpi).

Elżbieta Jerichau Baumann.

W dniu 11 Lipca r. b. stała się pastwą gwałtownej diphteritis artystka polska, pani Jerichau, od lat kilkudziesięciu zamieszkała w Kopenhadze. Niewiadomo z jakiego tytułu pisma duńskie, oznaczając mylnie datę urodzenia naszej rodaczce, nazwały ją malarką narodową; zapomniały, iż, jakkolwiek przebywała długo wśród obcych, to jednak większość prac swoich przypominała, z kąd pochodzi. Niemcy, gotowi przenieść wszystko do swojej Walhalli, co tylko znajdą godniejszego pomiędzy przedstawicielami ludzkiej myśli, wzięli sobie na własność zaszczyt, iż pani Jerichau do nich należy. Wśród zamętu różnych wersji nawet ścisłe londyńskie „Athenaeum“ podało wiadomość, iż znakomita malarka ujrzała światło dzienne w Kopenhadze. ¹⁾

Anna Marya Elżbieta Baumann urodziła się w Warszawie d. 27 Listopada 1818 r., jak metryka, w miejscowych księgach parafialnych znajdujących się, przekonywa. Ojciec jej, gorliwy protestant, był jednym z najczynnějších członków gminy i orędownikiem instytucji dobroczynnych; należał także do pierwszych założycieli „Resursy Kupieckiej“, co wskazuje najlepiej, że musiał być obywatelem wpływowym i zżyty z miejscowemi stosunkami. Elżbieta przyszła na świat, w domu własnym ojca, położonym na rogu placu Św. Aleksandra i Alei Ujazdowskiej, gdzie wzrosła i wykształciła się. Wrodzone zdolności, do sztuki skłoniły rodziców, że wcześniej gust i skłonności młodej dziewczynki zwrócili do palety.

Nie mogliśmy się dowiedzieć, pomimo usilnych starań, kto pierwszym był mistrzem Elżbiety; sądzić jednak wypada, iż musiał to sumienny byt przewodnik, skoro uczennica jego, udawszy się potem zagranicę, dobrą szkołą zwróciła na siebie uwagę. Przebywszy dokładnie naukę rysunku, odbywaną pod okiem zdolnego artysty, młoda jeszcze dziewczyna wzięła się do pędzla. Jej studia, polegające na wzorowaniu z gipsowych głów, były wskazówką przyszłości, jaka kiedyś pod obcem niebem zajaśnieć jej miała. Baumannowa w 1840 r. wyjechała do Düsseldorfu i w miejscowej szkole, pod sterem najzdolniejszych ówczesnych profesorów (podobno Stilke'go), kształciła się, robiąc szybkie w sztuce postępy. Pracowitość i zamiłowanie przy wrodzonych zdolnościach torowały jej drogę, nie dopuszczając wejścia na manowce.

1) Jednocześnie autor niniejszego wspomnienia odnosi się do redakcyi „Athenaeum“ o sprostowanie błędu.

Zdobywszy najgłębsze tajemnice malarstwa, Elżbieta pragnęła postąpić dalej i udała się do Rzymu, gdzie z nowym zapałem wzięła się do pracy. Wspaniałe wzory włoskich mistrzów, natura pełna wdzięku i gród odwieczny z całym swoim otoczeniem — natchnęły młodą artystkę pierwszą iskrą samodzielności, tak, iż odważyła się wystąpić z płótnami szerszych rozmiarów. Odtąd rozpoczyna się epoka jej twórczości i samoistna charakterystyka pędzla. Widzimy ją tedy w gronie malarzy tak zwanej młodej szkoły, co przedewszystkiem w naturze wzorów dla siebie szukali. Baumanówna maluje sceny z życia wieśniaczego, widoki okolic nadbrzeżnych, obrazy morskie, które szybko na tańcu artystycznym zyskują sobie uznanie, roznosząc wieść o jej talencie po Włoszech i Niemczech. Wpływ szkoły Düsseldorfskiej pozostał jej na całe życie, a mianowicie: dokładność w wykończeniu szczegółów, znajomość rozkładu światła i rzucania cieniów, ale zarazem i pewna ociężałość dotknięcia i suchość kolorytu. Dzieła jej mają rysunek ożywiony, pomysły patetyczne i wyrazistość w wykonaniu. Przedmioty brała z życia, zwykle poważne, głębokie, z dziedziny pozareligijnej; wybór jej padał na sceny ludowe i rodzinne, skutkiem czego cała jej działalność przechyla się na stronę malarstwa rodzajowego.

W Rzymie Baumanówna poznała młodego Duńczyka, o dwa lata o siebie starszego. Jons Adolf Jerichau, rzeźbiarz, uczeń Thorwaldsena, urodzony w Assens na wyspie Fionii 1816 r., bawił tam w celu dalszych studiów. Dusze bratnie w sztuce zrozumiały się: Jons był gorącym wielbicielem jej pędzla i bywał w pracowni młodej malarki. Stosunki częste obudziły głębsze uczucia w dwu sercach, które węzeł ślubny w 1846 r. skojarzył. Artystyczna para przebywała czas dłuższy w Rzymie, gdzie wpływ arcydzieł włoskich i wstąpienie pana Jerichau do Niemców zniewoliły naszą artystkę do pewnych przeobrażeń w egzekucji utworów, które odtąd już mniej typowo przypominają Szkołę Düsseldorfską.

Liczne zamówienia otrzymywane przez męża do Kopenhagi, oraz posada ofiarowana mu w tamtejszej akademii królewskiej, skłoniły młodą parę do opuszczenia Rzymu. W ten sposób rodzinka nasza przybrała w 1849 r. nową ojczyznę, gdzie razem z małżonkiem aż do chwili zgonu przebywała. Pracownią mieli wspólną, zwykle przez Polaków, przybywających do Kopenhagi, odwiedzaną. Pani Baumann witała chętnie rodaków, z którymi z łatwością porozumiewała się matczystym językiem, pomimo przebywania zagranicami kraju od lat kilkudziesięciu. Przywiązanie do ziemi, co ją wydała, objawiało się w tematach, których we wspomnieniach szukała. Przed 10-iu laty jedno z pism duńskich, podając jej życiorys, nazwało ją Niemką. Pani Jerichau sprostowała pomyłkę w tymże dzienniku, oświadczając, iż narodowości polskiej nie poświęciłaby dla żadnej innej, przyczem nadmieniła, iż kilka swoich prac posyła jednocześnie do Warszawy, na wystawę urządzoną tu podówczas w celach dobroczynnych.

Działalność malarska pani Jerichau była nadzwyczaj rozległą; ulubionym jej tematem było życie rybackie, do którego w otoczeniu Kopenhagi znajdowała liczne wzory. Sceny i krajobrazy szwedzkie zdobią galerię królewską w Sztokholmie. Galeria obrazów Zamku w Kopenhadze posiada kilka jej płócien zaliczonych, pomiędzy Carstensem, Exnerem i Murstrandem do szkoły duńskiej. Krajobrazy polskie rozsypały się po całym świecie, głównie w Niemczech. Kilka płócien przedstawiających Beduinów lub Arabów koczujących na pustyni należy podobno do mniej udatnych utworów jej pędzla. Od 1858 r. pani Jerichau wystawiała swoje prace w Salonie Paryżkim, gdzie w 1861 r. otrzymała odznaczenie. Na popisach akademii duńskiej corocznie produkowała się. W 1862 roku w Londynie za „Śpiące dzieci“ otrzymała „honourable mention“. W owej epoce Anglicy do miejscowych zbiorów nabyli „The stocking Mender“ i „Courting in Amath“. Na Wystawie Paryżkiej 1867 otrzymała medal; wówczas-to na zamówienie Napoleona wymalowała „Czytanie Biblii“ znajdujące się w Luwrze.

Za najlepsze z jej prac uchodzą: „Chłopi opuszczający wioskę“ (temat polski); „Scena przy studni“ „Karnawał“ (włoski); „Syrena północna“, „Rozkosze Matki“ (1861), „Raniony żołnierz“, „Dobrzy koledzy“ (1867), „Finis Poloniae“ (1869 r.). Obecnie w Kunst-Vereinie wiedeńskim znajduje się płótno szerszych rozmiarów, jej pędzla, przedstawiające „Połów ryb we Włoszech“. Sprawozdawca londyński wymienia prócz tego następujące utwory znajdujące się w rękach prywatnych posiadaczy angielskich: „Duński rybak suszący sieci“, „Modlitwa dziewczęcia“, „Wybrzeża Nilu“, „Katarakty“. Obrazy te robione były z natury, co dowodzi, że rodzinka nasza odbywała podróże na wschód. Byłoby do życzenia, aby ktoś zajął się spisaniem jej dzieł i oznaczył, gdzie obecnie się znajdują.

A. N.

WYSTAWA ZABYTKÓW

PRZEMYSŁU PIĘKNEGO

w Pałacu Brühlowskim w Warszawie.

Istniejące z pożytkiem od 1875 roku, a bardzo skromne i ubogie, nasze Muzeum Przemysłu i Rolnictwa potrzebuje prawie jeszcze wszystkiego, co by nazwę jego usprawiedliwiło: potrzebuje zbiorów. Dotychczas posiada ono tylko pojedyncze przedmioty, doraźnie, po większej części przez szkodliwą przydatność dostarczone; ani liczbą, ani wartością naukową, ze względu na zadanie instytucji takiej, jaką powinno być Muzeum, nie pozwala im nadawać charakteru zbiorów prawdziwie muzealnych. Są to ciągle jeszcze dopiero zawiązki, próby, usiłowania, dobre chęci, pocziwe zamiary; ale rzeczy samej jeszcze niema. Ilekroć mówimy „Muzeum“, rozumiemy pod tą nazwą, nie żaden zbiór martwy, ale grono ludzi żywych, do breń ożywionych chęciami, którzy chcieliby przemysłowi dodawać szlachetnej podniety, przez urządzenie wystaw, wykładów naukowych o przemysle w najobszerniejszym jego zakresie, zbiorowych lekcji rysunku niezbędnego dla kształtności i powabności wyrobów i wszelkimi innymi w mocy ich będącymi środkami. Komitetowi Muzeum zawdzięczamy kilka już wystaw dorocznych: jak wyrobów ręki kobiecej, tkanin, skór i t. d. W roku bieżącym, dzięki Komitetowi, mieliśmy wystawę przedmiotów, przeznaczonych na przyszłoroczną popis w Moskwie. Komitet wiele już dobrego uczynił przez urządzenie wykładów z technologii, z ogrodnictwa, przez ustalenie i niezmiernie ułatwienie nauki rysunków. Jeżeli zbierzemy wszystko, co się już dotychczas spełniło z początkowania i środkami Komitetu, nie będziemy mogli odmówić mu rzetelnej zasługi. Komitet daje znak życia, żyje; tylko dotychczas jeszcze nie może zdobyć się na założenie porządkowych, naukowych, naukowych zbiorów. Są ludzie; niema jeszcze rzeczy, bo niema funduszy.

Dla zrobienia czegoś w dziale sztuki stosowanej do przemysłu, dla zebrania nieszczęsnych owych funduszy, lubownicy i posiadacze pięknych wyrobów z przeszłości pp.: Benni Karol, Dr M., Brzeziński Józef, Dr M., i Wrotnowski Lucjan, przedstawili Komitetowi projekt urządzenia wystawy przemysłu pięknego z dawniejszych czasów. Komitet chętnie myśl rzeczoną podjął; wzbogacił ją wystawą wyrobów nowoczesnych i w wykonanie wprowadził. Do umyślnego Komitetu kierującego weszli, oprócz pierwotwórców zamiaru, pp. Brodowski Józef, Domaniewski, Okołowicz Gustaw, Lesser Daniel, Przedziecki Konstanty, Radziwiłł Michał, Strzałecki Jan, Sulatycki Jan i Trębicki Michał; ogółem dwanaście osób. Komitet ten wspólnie ze stałym Komitetem Muzeum dokonał całego urządzenia wystawy.

Tak tedy po upływie lat wielu doczekaliśmy się wystawy przemysłu pięknego z dawniejszych wieków i czasów; dawniejszych, mówimy, bo teraźniejszych, przez dzisiejszy przemysł dostarczo-

nych, okazów, z wyjątkiem mebli, było tak mało, iż o nich zaledwie wspomnieć warto. Zamiar Komitetu Muzeum nie powiódł się: przemysł dzisiejszy, przemysł nasz, wcale do zapasów nie stanął; czuł, że będzie pobitym. Poza meblami — trzymanymi w stylach dawniejszych — trochę wyrobów złotych i pozłacanych, trochę pięknych biżuterij, nienasznych; tu i ówdzie wyskakujący wyrób Chrystophle'a lub jakiego innego zagranicznego złotnika, mnóstwo, aż zawiele, robót tapicerskich: oto i wszystko. Wystawa miała skutkiem tego charakter historyczny, przedstawiała rzeczy dawne, a nie bieżące i nazwa jej: „Wystawa dzieł sztuki stosowanej do przemysłu“, była najzupełniej niewłaściwą, oile w niej koniecznie mieścić się musiało pojęcie dzieł dzisiejszych.

Przed dwudziestu pięciu laty, w r. 1856, w pałacu Potockich na Krakowskim-Przedmieściu, urządzono również wystawę rzeczy dawnych, ale z innym niż obecna celem, w innym zakresie i charakterze. Tamta, mniejsza, ale poważniejsza, miała zaspokoić potrzebę ludzi miłujących naukę, zbierających wiedzę o przeszłości, dążących do poznania własnych zabytków; ta, głównie obliczoną była na zaspokojenie ciekawości publicznej, zakres jej był bardziej kosmopolitycznym, a poziom do przemysłu obniżonym. Podczas kiedy tam głównie szło o ukazanie materyalnych zabytków cywilizacji, kultury i sztuki w Polsce; tu miano na widoku wszystko, co przemysł dla wygody, dla przyozdobienia osób i mieszkań ludzkich zrobił w wiekach dawnych, w całej Europie. Wystawa z r. 1856 była bardziej historyczną, dawniejszej sięgała epoki; ta wogóle zatrzymywała się na XV wieku. Zasadnicza różnica bardziej naukowego i bardziej polskiego charakteru, objawiła się w samym sposobie ustawienia przedmiotów, w ułożeniu katalogu, a objawi się i w sposobie spożytkowania trwałego obu wystaw. Po wystawie z r. 1856 wypracowano poważne dzieło naukowe; nad wystawą tegoroczną dotychczas widać tylko mniej więcej poważne spostrzeżenia: o zamiarze opracowania systematycznej całości nie słyhać. Trwały, umysłowo ująć i ustalić się dający, pożytek z obecnej wystawy w dwóch przejawach się może kierunkach: w historycznym i w estetyczno-technicznym; pierwszy wzywa do działania archeologów, drugi techników-przemysłowców. Wypracowanie porównawczego obrazu przemysłu dawnego i dzisiejszego nie byłoby rzeczą niepodobną do wykonania, a mogłoby przynieść wielki przemysłowcom dzisiejszym pożytek, gdyby... gdyby uczuwano u nas potrzebę porównań, nauczających wskazówek, potrzebę doskonalenia się i pracy umiętej.

Ustawieniem blisko 2,000 przedmiotów, które znajdowały się na wystawie, rządził raczej przypadek, raczej wzgląd na ozdobność i okazałość, niż uznanie racjonalnego porządku w okazach. Wola właścicieli przedmiotów była nieraz przyczyną tego, czysto tylko powierzchownego, rozstrzeliwającego uwagę, ład, jakimś na wystawie widzieli; ale główna za taki a nie inny układ odpowiedzialność spada na krótkość czasu, na pośpiech, na to, co najczęściej wszystkim naszym przedsięwzięciom szkodzi. Muzeum, zanim uprzątnęło jedną wystawę, musiało już przygotowywać drugą; zamiar w stosunku do oznaczonego terminu, a był to termin bezwzględnie najdogodniejszy, zbyt późno w życie wprowadzać zaczęto: zbrakło więc czasu na racjonalne, skupiające zestawienie przedmiotów, na ułożenie porządkowego katalogu, na krytyczne ocenienie dat, na sprawdzenie tych metryk, niezawsze prawdziwych, z jakimi przybywały przedmioty na wystawę: jednym słowem, na porządne, naukowe urządzenie całego popisu. Czuł to dobrze sam Komitet; przyznał, że systemat przyjęty do uporządkowania przedmiotów, był tylko dekoracyjnym i postanowił złe wynagrodzić przez uczestnictwo swoje w wydaniu *Albumu* cenniejszych przedmiotów z wystawy. Do przedsięwzięcia tego należy i Redakcja *Ekonomisty*, która staraniem swym wydała była katalog. Na *Album* złoży się 100 fotografii do 100 cali powierzchni dochodzących, z odpowiednimi objaśnieniami. Pięćset przedmiotów w ten sposób przejdzie do zbiorowej pamięci. *Album* będzie trwałą po wystawie pamiątką.

W porządku katalogu, odmiennym zupełnie od

porządku zewnętrznego w salach okazowych, wszystkie przedmioty dzielą się na 10 klas: I. Ceramika krajowa i zagraniczna; II. Szkło; III. Bronzy; IV. Wyroby złotnicze; V. Wyroby wyrzynane, wytłaczane i cięte; VI. Tkaniny, hafty i koronki; VII. Zbroja i przybory wojenne; VIII. Miniatury, emalie i medale; IX. Druki i oprawy; X. Meble. Dziesięć tych działów wypełniała właściwą wystawę przemysłu pięknego z czasów dawnych. W dziale XI mieściły się wyroby dzisiejsze, Huculskie i Bukowińskie, własnością pana W. Przybysławskiego będące; na końcu zaś samym, w nikłej małości, przemysł nowoczesny, na jedenastu zaledwie pozycjach; najgodniejszymi uwagi są tu meble w naśladowanych stylach dawnych francuzkich.

Najobfitszemi były działy Ceramiki zagranicznej, bronzów i mebli. Miniatury oglądaliśmy z przyjemnością, ale nie uważaliśmy ich za wyroby przemysłowe. Podobnie medale i kamee bardzo tylko wzięto łączyć się z przemysłem. Inna rzecz emalie, bombonierki, oprawy do książek. Druków było niezmiernie mało: trochę inicjałów i iluminacji, parę tytułów i drzeworytów; ale i to mogło wykazać wysoką staranność dawniejszych wytwórców książek.

Do działu I-go najwięcej dostarczyli pp.: Benni, Brzeziński, Gebethner, Kaszyc, Laska, Lesser, K. Przeczdzicki, Sulatycki, Zamojscy, Zawiszyna. PP. Gebethner Felix i Lesser Daniel posiadali własne swoje szafy, wskazane w katalogu; pierwszy wystawił więcej numerów (110), drugi mniej (33), ale bogatsze i wyższe pod względem piękna i różnorodności. Uwagę zwracały tu na siebie medaliony w rodzaju kamei, wedgwoodowskie, przedstawiające znakomitości XVIII wieku, między innymi i nasze; dalej: posążki Kościuszki, Stan. Augusta, popiersia Voltaire'a i Molière'a, wiele charakterystycznych postaci, ładne kosze do kwiatów i owoców — a we wszystkim tem przebiegało się sporo pomysłowości, harmonijnego bogactwa barw i kształtów.

Szereg okazów Ceramiki Polskiej rozpoczynały dwa naczynia, podane za wyroby krakowskie z XV wieku; napewno prawie powiedzieć można, że należą one do wieku XVI i niekoniecznie musiały być „słojami aptekarskimi“, jak chce katalog. Spotykamy się tu dalej z wyrobami dawno już zapomnianych fabryk krajowych. Taką była fabryka belwederska, z której wyszły 4-ry talerze w darze dla Padyszacha przeznaczone (Nr 1^a); fabryka w Lubartowie (Nr 22—22 d); w Tomaszowie (Nr 24); fabryka korecka, o której wiedzą nawet zagranicą i markę jej wysoko cenią (Nr 27 do 37 i dalsze); za najpiękniejszy okaz tej ostatniej fabryki uważamy Nr 42 b katalogu. Ciekawą jest filizanka i garnuszek z gliny ciemnej, z fabryki Tyzenhauzowskiej w Horodnicy pod Grodnem (Nr 44 b). Znajdują się także okazy z Bolesławia (Bunzlau), oryginalnie przez katalog w jednym miejscu „Buncłowem“ nazwanego (Nr 2 i 3), i z Baranówki (Nr 50).

(Dalszy ciąg nastąpi).

PRELUDYUM SZOPENA

OBRAZEK DRAMATYCZNY W JEDNYM AKCIE

oryginalnie napisany

przez

M. Gawalewicza.

(Dokończenie, ob. Nr 29)

SCENA V.

Ciż i Daniel (który podczas ostatniej rozmowy stanął we drzwiach w głębi, podchodzi spokojnie bliżej i bawdawczo, przenikliwie spojrzeniem obrzuca Ewę i Ludwika).

Daniel (do Ewy)

Co mu się stało? Ja zgaduję, a jeśli pani pozwoli, wyręczę go w odpowiedzi.

Ewa (przerywając grę)

Pan? (wstaje)

Daniel (siłując się na spokój i obojętność)

O proszę, nie przerywaj pani sobie tej pięknej gry, tak w porę wybranej. Dla Ludwika to Preludium ma urok nieprzeparty. Proszę, graj pani dalej. Mój przyjaciel jest fanatycznym wielbicielem Szopena, a zpod pani rąk, ta melodia właśnie tak przedziwnie zabrzmiała. Dziwny traf, nieprawdaż Ludwiku? Mój Boże! jak widzę, bardzo niewłaściwie przerwałem ten koncert mojem zjawieniem się, i zepsułem wrażenie tak miłe i podniosłe. (do Ewy) Czy uwierzy pani, że to Preludium odegrywa bardzo ważną rolę w życiu mego przyjaciela, że jest niejako zaklęciem, które budzi w jego sercu wspomnienie najpiękniejsze w życiu (z naciskiem) szlachetnego mężczyzny.

Ewa

Jakież to?

Daniel

Wspomnienia miłości.

Ludwik

Danielu!

Daniel

O pozwól, będę szczerym. To takie piękne i poetyczne, że ci tylko zaszczyt przynosi, a pani Ewie należy się przecie wytłomaczenie (do Ewy). Ludwik był zawsze trochę entuzystą i szukał niezwykłych wrażeń w życiu, ale z tą miarą ludzi uczciwych, którzy kochają, co piękne i co dobre zarazem; a dla takich ludzi nawet piękne wrażenia mają coś świętego, coś — co w ich duszy zostawia niezatarte ślady, jak dłuto mistrza naalabastrze. Nie zdziwi to pani teraz, że, dotknąwszy palcami klawiszów, zagrałaś jednocześnie na duszy Ludwika, i w tem cudownem Preludium Szopena, przypomniałaś mu cichy szept pierwszego wyznania miłości, rozkoszne chwile marzeń przy boku kobiety, która mu oddała wszystko, co dać może młodość i świeżość wdzięków i uczucia; długie zimowe wieczory samnasam z ukochaną; te pierwsze drgnienia serca, które, upojone miłością, marzyło o raju na ziemi — i myślało, że żadnych pragnień więcej mieć nie będzie; przypomniałaś kochankowi miłosne gruchania, mężowi pogodne miesiące miodowe, ojcu kołysankę pierwszego dziecka.... Czyż może panią teraz dziwić wzruszenie Ludwika? gdy posłyszał tę szopenowską pieśń, którą mu tak często grywała — jego żona, przed ślubem i po ślubie?

Ewa

Pani Laura? ach! (hamując się). Więc niechcący natrafiłam na prawdziwy, serdeczny ton pańskiego przyjaciela. (na stronie). A, to niezręczność!

Daniel

Czy chcący, czy nie chcący, w każdym razie bardzo szczęśliwie.

Ewa (złośliwie)

Jeżeli się nie mylę, Ujejski to Preludium nazwał: „Wniebowzięciem“; pan Ludwik, gdyby był sam kompozytorem, mógłby mu dać właściwszy tytuł: *Souvenirs de la lune de miel*, albo coś w tym rodzaju.

Daniel

Z koniecznym wszakże dodatkiem: *Tous les droits réservés.*

Ewa (z przekąsem)

A pan podjąłbyś... się zapewne roli stróża tych praw zastrzeżonych?

Daniel

Czyżbyś pani nie była zwolenniczką — przywi-lejów?

Ewa

I owszem — własnych!

SCENA VI.

Ciż i Laura (wchodzi śpiesznie głębią, niosąc Lola na rękach).

Laura

Ach, jesteście państwo razem? Proszę spojrzeć tylko, co to znalazłam na terrasi! (do Ewy). Biedaczek pani usnął ze znużenia po spacerze. A jakże twardo śpi! Zabrałam go sama na ręce. Cicho, cicho! nie budzić go! Żebyście byli widzieli, co to za śliczny obrazek można było zrobić z Lola, w tej pozie, w jakiej go zastałam! Wiesz Ludku, gdzie się ułożył? przy naszym kamiennym sfinxie na terrasie. Biedaczek mój! (całuje go z lekka w głowę). Zazdroszczę pani takiej pociechy. Ale trzeba go odnieść do dziecinnego pokoju, niech się przespi przed odjazdem.

Daniel (podchodzi, chcąc zabrać Lola)

Pozwoli pani.

Laura

O nie, nie — ja sama to zrobię; moje ręce przyzwyczajone do takiego ciężaru (przechodząc obok Ludwika, patrzy mu czule w oczy). Cóż to? mój pan ma takiego marsa na twarzy? czy nie kontent z czego? Proszę się ze mną przywitać i przychodzić zaraz z naszymi gośćmi na herbatę. Musicie być głodni! (Ludwik całuje ją z lekka w czoło). Czekam (wychodzi nalewo).

Daniel (do Ewy)

Co to za rozkosz być.... dobrą matką.

Ewa

Zapewne! (zacinając usta, chwilę wala się, potem zmierza ku drzwiom nalewo, zatrzymuje się i bardzo cicho mówi do Ludwika). Nie chcę państwu robić ambarasu; czas nam z Lolem do domu; każ pan z łaski swojej zająć nasze stangretowi (ciszej). Będę teraz częściej grywać Szopena na pańską pamiętkę (wychodzi, tłumiąc nerwowo śmiech — nalewo).

SCENA VII.

Ludwik i Daniel

Daniel (przez chwilę patrzy na Ludwika, który ze zwieszoną głową oparł się, zamyślony, o stół; potem odzywa się zniżonym głosem):

Ludwiku, — domyśliłem się wszystkiego. Ta kobieta była twą Ewą, twem pokuszeniem w raju małżeńskiego pożycia. Los sam powstrzymał cię nad przepaścią; ale strzeż się. Dzisiaj kilka taktów

nświęconej wspomnieniem pieśni, wyrwało cię z szalu. Oh, nie zapieraj się! słyszałem, coś do niej mówił; zresztą widziałem z tego okna, jak ją niebacznie chciałeś w skroń pocałować, gdyście wstępowali na wschody terrasy. Wiesz, że mam za bystre oko i za wiele doświadczenia w życiu, abym się po takich pozorach mógł jeszcze omylić. Pani Ewa jest kobietą niebezpieczną, nawet dla takich, jak ty—ludzi; ale powiedz, czy warto poświęcać dla niej uczciwość męża, zaprzeczyć się głosu własnego sumienia, przysiąc czystego serca i za co?—za kilka chwil upojenia, szalu, zmysłowej uciechy... To szczęście kradzione, jak owoc Martwego Morza, ma tylko pozór ludzki, ale wewnątrz... popiół sam. Takie kobiety nikomu, ani sobie — szczęścia i pokoju dać nie potrafią. To piękne cmy o świetnych barwach; krążą wiecznie około płomienia i giną w płomieniu, pociągając nas za sobą. Nie tobie unosić się nad niemi litością i ratować je przed przeznaczeniem takim. Ty inne masz obowiązki. Wybacz, że mówię do ciebie głosem sędziego w tej chwili, ale mam potemu trochę prawa. Wiesz, że kiedyś... kochałem i wyrzekłem się dla ciebie mej miłości, pod warunkiem, iż uczynisz Laure szczęśliwą. Wierzyłem ci i ufałem, boś na to zasłużył, — zresztą los sam sprzyjał więcej tobie, niż mnie, dając ci wzajemność. Pomyśl: czy dla takiej żony, jak ona, ty — człowiek szlachetny, człowiek honoru, możesz być mężem wiarogomnym? Ludwiku! takiej krzywdy nie śmiałyś jej i swemu dziecku wyrządzić. Trzeba mieć siłę odparcia pokus, choćby w najszlachetniejszych obsłonach, — jeśli się nie chce zostać nieszczęśliwym na całe życie, lub — zbrodniarzem! Czy wiesz, że twoją żonę zabiłoby samo podejrzenie, iż ją kochać przestajesz? ona nawet przypuścić nie śmie, iż jej wybrany, jej mąż mógłby zdradzić jej miłość. Mówię ci to, jako ostatnią przestrożę, Ludwiku. Jutro pożegnaj was, może nazawsze.... ale zaklinam cię, nie narażaj, nie marnuj lekkomyślnie jej i swojego szczęścia, bo ono, jak kwiat wiosenny, raz żądłem owadu ukłuty, zwiędnąć-by już musiało nazawsze.

Ludwik (po wewnętrznej walce, z okrzykiem „Danielu“ rzuca mu się na szyję. Obaj przez chwilę trzymają się w objęciach).

Daniel (ocierając ukradkiem oczy, wyrzywa się z ramion Ludwika i, popychając go zlekka ku drzwiom nagle — mówi:)

O tak... teraz poznaję cię znowu!.... Idź, idź — tam, do niej — do żony twej!.... No, idź!....

Ludwik (raz jeszcze ścisnąwszy go za ręce — wychodzi).

Daniel (po chwili opanowuje wzruszenie)

I serce nie pękło?! Pokazuje się, że byłem jeszcze potrzebny na świecie i że, jak mówi Asnyk, nie mogąc żyć dla własnego szczęścia, „potrafię jeszcze żyć radością cudzą...“
(Idzie powoli do fortepianu, siada i, zamyślony, zaczyna grać Preludium A-Dur).

Zasłona spada.

Korrespondencya zagraniczna.

„Antygona“ — Siemiradzki. — Rossowski. — Jerichau-Baumann. Pielgrzymi słowiańscy. — Stowarzyszenia słowiańskie i kobiece. Król loteryi. — Jasność w nocy. — Karty. — Wycieczki na wieś. — Kuplet o Wiedniu.

Wiedeń, w Czerwcu 1881 r.

(Dokończenie).

„....Wykonanie jednak nie dorasta do intencji, w ogóle jest pobieżne, a w głównych rzeczach własnie chybia. Dobrze się udał (!) tylko półcień obok

skały i wzburzone morze; błędem jest to, że pochodnie zostające na tyle nieboskłonu jaśniej świecą niż owa w półcieniu trzymana, niż oba trupy; ani ciała tańczących nie są dobrze rysowane, a wszystko traktował artysta z ową genialną swawolą, która zawsze w tem wielkość swą chce stwierdzić, żeby to, co niedokładnie zostało pojętem i od niechęcia przedstawionem, podawać jako prawdę.“ Wyrok surowy — nawet zbyt surowy, ale nie lekceważący, zresztą poniekąd błędny. Jest myśl, idea i prawda w obrazie, nie można żądać, żeby artysta malował natury szlachetne, wtedy kiedy społeczeństwo rozpasane przedstawia mu co innego. Morze jest śliczne.

Cała krytyka tutejsza nierównie wyżej od poprzedniego postawiła obraz Rossowskiego — jeszcze ucznia Matejki — *Skazana*. Ranzoni pisze o nim: „*Skazana* mogłaby słusznie być nazwana porywającą, gdyby artysta był z taką samą dojrzałością wytworzył wszystkie postacie, jak główną osobę i kata. Scena obmyślana dobrze, jasną jest dla widza bez komentarza; całość psuje to, że artysta w szereg trafnie ucharakteryzowanych postaci wstawił niektóre wcale konwencyonalne i że w traktowaniu rzeczy (des Stofflichen), w czem przecież polscy malarze tak celują, zdradza niepewną i niewyćwiczoną rękę. Ta nagana dotyczy nie tylko szczegółów i tego, że żelazo nie jest żelazem a glina nie jest gliną, lecz w ogóle metody, według której architektura, ubiory, zbroje są traktowane. Należało to wszystko jeszcze ogólniej i podrzędniej trzymać, albo wszystko staranniej wykonać, ale jednak, nie rozmaicie.“ Obraz przedstawia dziewczynę skazaną w średnich wiekach na publiczny przegięz pod kościołem. Stoi przykuta do muru, na piersiach ma zawieszony wyrok kary kościelnej, a tłum wychodzący z kościoła ją ogląda — każdy według swego usposobienia, od paupra, który ją przedrzeźnia aż do głęboko współczującej duszy. Śliczna — bo to postać, bolesna, przejmująca do łez skamieniałością swojego wstydu; wyborna jest publiczność, a że między nią są i postacie nijakie, bez wyrazu, obojętne, to nie wiem czy to właśnie jest błędem. Obraz ten, ze swem barbarzyństwem średniowiecznym, przypomina Siemiradzkiego *Chrystusa i Jawogrzeźnicę* — lecz właśnie przeciwieństwem wrażeń, które wywołuje. Tu bezwzględna surowość, tam przebacząca i podnosząca miłość.

Są też na wystawie trzy obrazy zmarłej właśnie dnia 11 b. m. w Kopenhadze pani Jerichau-Baumann, dwa *krajobrazy* i *Odaliska*. Niebardo się one udały; malowane są pośpiesznie. Wiadomo, że artystka ta, urodzona w Warszawie, wielu strunami serca z nami była związaną, a ta sympatya odbijała się w przedmiotach jej obrazów.

Wspominałem już, że w r. 1880 odbędzie się tu międzynarodowa wystawa sztuk pięknych. Ogłoszono już jej programmat. Przyjmowane będą dzieła pochodzące z lat ubiegłych od ostatniej wystawy wiedeńskiej powszechnej, t. j. od r. 1873. Sprawa to dla nas nie obojętna; powinniśmy zająć stanowisko odpowiednie, razem wszyscy, żeby nie utonąć między Niemcami, którzy radzi naszych artystów między różne państwa rozrzucają, n. p. Brandta anektują do Niemiec, byle polska sztuka nie imponowała. W różnych krajach zawiązują się już *komitety akcyjne* dla tej wystawy. Nasi malarze powinni zawczasu o sobie pamiętać i nasi posiadacze arcydzieł. Towarzystwa też sztuk pięknych w Warszawie, Lwowie i Krakowie, wraz z tamtejszą szkołą, powinny wspólny utworzyć komitet, tutaj mieć jego delegacyą, wezwać wszystkich artystów polskich do zgodnego działania przez pośrednictwo jednego komitetu, który też powinien się domagać głosu w zarządzie wystawy i czuwać nad dobrem rozmieszczeniem naszych dzieł. To, co mamy dziś najlepszego, wymaga baczności i starania wpore; nie pomogą bowiem żale, ubolewania poniewczasie. Dlatego też i ja w porę przypominam i nawiązuję — kogo należy.

W Wiedniu przebywali teraz ks. Milan serbski, Daniło czarnogórski, Alexander bułgarski, a pielgrzymi słowiańscy, ciągnący do Rzymu, na święto Cyryla i Metodego tu mieli punkt zborny. Było ich razem około 1200, ze wszystkich warstw społecznych i wszystkich ludów: Polacy, Rusini,

Kroaci, Słowenci, Bośniacy, Hercegowińcy, Bułgarzy, arcybiskup ruski Sembratowicz, biskup krakowski Dunajewski, biskup zagrzebski Strossmayer, gorący apostoł odrodzenia się południowych Słowian. Ten przyjazd pielgrzymów spowodował *poraz pierwszy* usiłowanie skupienia i zebrań wspólnego liczących, a w rozproszeniu tu mieszkających Słowian, dla powitania, oprowadzenia i pożegnania pielgrzymów. Stało się to częścią przez pośrednictwo tutejszych stowarzyszeń i związków słowiańskich, które tu są liczne, a nawet się dotąd nie znały. Oto ich nazwy: *Czeskie* polityczne stowarzyszenie, *Delnicka jednota* robotnicze stow., *Lumir* — słowiański związek śpiewaczy, *Slawoj*, słowiański związek śpiewaczy, *Komensky*, Stow. dla szkół czeskich w Wiedniu, *Obcauska beseda*, *Ognisko*, stow. akademickie polskie, *Przytulisko polskie*, dla wsparć, *Pokrok*, związek dla przedstawień teatralnych amatorskich, *Polskoizraelskie* stow. dobroczynne kobiet, *Sicz*, stow. akad. Rusinów, *Słowian* stow. dla kształcenia się i śpiewu, *Słowianska beseda* *Słowensko literarno društvo na Dunaji*, *Spolek mediku a prirodospylcu* *Akademicki spolek*, *Bukowina*, *Slovenia*, *Tatran*, stow. słowackie, *Velebit*, stow. kroackie, *Zora serbska*, *Południowo-słowiańskie* stow. techników, *Zebój czeski*. Byłoby bardzo pożądanem, żeby ten pierwszy krok do zbliżenia się wywołał stałe obcowanie *towarzyskie*, bez politycznych celów. Samo zbliżenie się i poznanie wystarczy.

Mówiąc o stowarzyszeniach, przytoczę mimochodem, że stowarzyszeń kobiecych jest tu czterdzieści; pism dla kobiet pięć — o jednych i drugich innym razem osobno napiszę. Muszę koniecznie, a na zakończenie zaznaczyć jeszcze ważniejsze nowiny miejscowe. Oto zginął *król loteryi*, baron Soten, bankier, który urosł na magnata z drobnego faktora, ale urosł w epoce szwindlu i krachu ludzką krzywdą, lichwą, wyzyskiwaniem, sprzedając *losów* rozmaitych i wyłgiwaniem od nieświadomych wygranych. Oddał on się na starość wraz z żoną dewocyi, świadczył klasztorom, lecz nie przeszedł mimo to być twardym i nieużyty, co spowodowało strzelca jego, zrozpaczonego losem swojej nieślubnej żony i dzieci, że go zastrzelił. Dla mordercy ogólna powstała sympatya, składki znaczne dla jego rodziny — pamiętano bowiem „*królowi*“ jego zdzierstwa. Omal, że nie przyszło do profanacji pogrzebu; tłumy się zebrały, zajęto drzewa i dachy; wyto, gwizdano, przeklinano, rzucano kamieniami na trumnę. Było coś strasznego w tej zagrobowej zemście ludu, który, ilekroć namiętność go porywa, wszędzie jest dziki i tak samo nieludzki w takiej chwili, jak ten „*król*“ przeklęty.

Mamy tu nowy wynalazek: kwiaty, plakaty i tapety, które świecą w ciemności, tak, iż czytać można bez światła i podobno bez szkody dla zdrowia. Jeżeli się ta nowość utrzyma i rozwinie, może mieć wielkie znaczenie. W Anglii są już domy, w których w nocy bez gazu i nafty widno. Wygląda to jakgdyby na bajkę jakąś z „*Tysiąca i jednej nocy*.“ Podobno Anglicy przy otwarciu jednej z piramid egipskich znaleźli sklepienie grobowe oświetlone. W środku stała lampa, która tysiące lat płonęła, a za przypływem powietrza zgasła. Czyżby tam była podobna tajemnica?

W dwóch tylko teatrach: Grey-Theater, niby szkole, i w Praterze, Fürsta, (jestto teatr letni), odbywają się przedstawienia, ale oddane wyłącznie na possy t. j. głupstwa sceniczne w dyalekcie miejscowym. Konkurencyą robi im para karłów, — narzeczeni, niby lalki, nie więksi, wcale zajmujący, prezentowali się już na dworze — i cyrk Carrégo, który tresuje konie tutejszym lubownikom. Większą jeszcze konkurencyą robią upały, niepozwalające wychylić się z domu, lubo w ogóle Wiedeńczycy nie zważają na nie, byle się zabawić. Więc zapasy pływaków mają wielkie powodzenie, a w święto wszystko, co żyje, ucieka — na wieś. Tak się to nazywa, ale w rzeczywistości to znaczy kurz, poty, ścisk, duszność wśród setek tysięcy wycieczkowców, którzy gniotą się w omnibusach, wagonach i w każdej restauracji i każdym ogrodzie a o stołek, lub piwo czy kawę bójki staczają i chłodzą się potem wachlarzami, właściwie zaś dopiero po powrocie do domów wypoczywają. I to nazywa się użyć

swobody i świeżego powietrza! Rządcy tylko śmiało puszcza się trochę dalej, w okolice, które są tu przesłone — ale już nieco zdaleka na jednodniową wycieczkę.

Ubytku ruchu mimo pory martwej nie znać: zawsze mrowisko ogromne i „pasaż“ dla cudzoziemców, przecież nawet sami Wiedeńczycy ułożyli kuplet na nudy letnie:

I tu i tam, — ano wszędy
Dużo wrzawy i gawędy
O tym Wiedniu; prawia cuda.
Ładne miasto, dużo luda;
Lecz obrazy i marmury
Wiecznie jedne, jak za karę,
Nazbyt znudzą, a za chmury
Kiedy słońce już się schowa,
Wszystko jest jednakie, — szare.
Więc ze złości pęka głowa,
Co tu robić? niech kto powie.
Jeśli komu służy zdrowie.
I z kurami spać nie chodź,
Gdzie rozerwie się, ochłodzi,
I zabawi i cieszy?
Teatr żaden nie się spieszy;
Wjesieni będą otwarte...
Drepta człek ścieżki utarte.
O dziesiątej wszystko śpi,
O dwunastej lampy gaszą:
Więc sobie już chyba kpi,
Kto chwali stolicę naszą.
Szerokie to jest i długie,
Lecz miścina, jak i drugie.

ŻYCIE POD ZWROTNIKIEM

przez

Sygurda Wiśniowskiego.

(Dalszy ciąg, ob. Nr 29).

Wzmianka ostatnia prowadzi mnie do kilku uwag o cywilizacji kreolskiej i hiszpańskiej, bo według tej ostatniej rozwój południowo-amerykańskich ludów się kształtuje. Kubańczycy, jak wszelacy koloniści, prześcignęli na drodze postępu powolną metropolię. Są zamożniejsi, myślą głębiej i śmieiej, czytają ogólniej i więcej, mniej się na rutynę przedawnioną oglądają, niż Hiszpanie. Mówią wszyscy bez wyjątku czystym językiem kastylskim, pragną niepodległości, swobody handlu i przemysłu, tudzież rozmaitych dobrodziejstw, o których tylko intelligencja starej Hiszpanii ma jakiegokolwiek pojęcie. Postępowy syn Kastylli pokazuje z dumą tych zamorskich swych współplemienników, jako doskonałość, kwiat i czoło iberyjskiego plemienia, gałąź rozwiniętą ponad ogół iberyjskiego szczerpu zbiegiem szczęśliwych okoliczności. Jakżeż smutnym musi być stan umysłowy europejskich Hiszpanów, jak zacofana ich cywilizacja, jaka kołowaczna w ich pojęciach, jeżeli Kreolom palmę wyższości intelektualnej przysłać muszą!

Poznałem bliżej kilku ogłuszonych Kreolów — towarzyszy broni Rollowa i rzekomego prezydenta republiki Kubańskiej, Kalixta Garcíę. Byli to niby ludzie liberalni, wykarmieni literaturą angielskich i amerykańskich ekonomistów i mędrków; ale niewiele było między nimi takich, którzy-by wyznawali kardynalne zasady wszechstronnej tolerancji, bezwzględnej sprawiedliwości, nieczynienia sąsiadom, co Kreolom nie-miło; coby widzieli potrzebę oświaty powszechnej, tak dla białych, jak dla czarnych ludzi, niezwłoczniego skasowania wszelkiego niewolnictwa otwartego lub ukrytego i t. p. koniecznych reform. Uszanowanie dla opponentów politycznych i literackich zdaje się być niezgodnem z ich naturą despoticzną. Ich szowinizm narodowy posuwa się do śmieszności. Nie uznają w praktyce maxymy, którą w teorii chwala, że szczęścia rodzinnego tam mieć nie można, gdzie z mężczyzną z dziećmi następnego wieku jest ciemna zabobonna istota

z piętnastego stulecia związana, zwana małżonką i współnikiem uciech i smutków, ale traktowana jak niewolnica. Ich zazdrosne usposobienie, szatan kłamliwy, obłudny, radzi im stawiać na straż czystości domowej postrach, grozę i głupotę. Żony obowiązki względem męża, dzieci względem ojca zdają się im ważnemi; ale obowiązki mężczyzny, męża i rodzica względem wstępników pod opieką jego będących lekceważą sobie.

Ich rozmowy bywały często dowcipne, czasem sentymentalne, ale nigdy się długo przy przedmiotach wyższego znaczenia nie zatrzymywały. Do abstrakcyjnego rozumowania, do empirycznego budowania z faktów i danych niewątpliwych teorii niezbitę, do mozolnego szukania prawdy logiczną, mozolną pracą nie okazywali ochoty. Zauważyłem w nich pewien wstręt do „zuchwałych polotów myśli, jakich w najdalej posuniętych narodach nawet dziecię pracy i biedy sobie pozwala, aby, naksztalt ptaka rzucającego się w klatkę, podlecieć śmiało, wysoko i uderzyć skrzydłami o kraty wieczności i nieskończoności, i odbić się od tej niezłomnej zapory i upaść — ale z honorem.

Ideale politycznym Kreolów nie był powolny, drogi, ciężko okupiony postępek na całej linii od Andaluzji do Vuelta de Abajo, ale gwałtowny przewrót w Madrycie, z którego-by człek żelazny wyszedł, kilku zamachami pióra oświecający, wyzwalający, uszczęśliwiający wszystkie ludy w cieniu sztandaru Leona i Kastylli zebrane, tylko nie rasę czarną, niższą, niewolniczą.

Dumni ze świetnej, pełnej sławy, bogatej w geniuszów, zasłużonej rodzajowi ludzkiemu swojej przeszłości, nie chcą wierzyć, że dwa wieki spali; że żółwie ich prześcigły; że w walce o pierwszeństwo cywilizacji tylko oświata i praca są bronią skuteczną; że świętości tradycyjne i relikwie, wspomnienia wielkości niepowrotnie minionej, są pięknymi zabawkami, ale nie pokarmem; że większe i powiastki Kaballerów i Truebów i retoryczne popisy Castellarów nie są dowodami pracowitego, głębokiego geniuszu narodowego.

Przypatrzmy się moralności kreolskiej. Piękne są i mają być skromne seniority, ale ich panowie są zepsuci do gruntu. Żyć poza domem, nie przebiegać w towarzystwie, przeproznować i przebawiać życie, szukać *panem bene meritum* w lekkich zajęciach biurowych, aspirować do wyższej rangi w armii, bez dźwigania karabina: to są cele Habanerosa. Ma on także swoje porywy patryotyzmu, wspaniałomyślności, rycerskości, gościnności — rakiety i fajerwerki. One wszędzie się znajdują. Nie większą ich lub mniejszą obfitością — powiedział Mill — różnią się rozmaite narody, ale skłonnością do cierpliwej, mozolnej pracy w teraźniejszej, systematycznie z widokiem przyszłych korzyści prowadzonej. Tej zdolności wielki brak w Kreolu. Łatwo inne narody o materializm oskarżając, jest przecież sam grubym, lekkomyślnym materialistą, a zważony na szali rozsądku, choć jako szczerze złoto świeci, okazuje się lekkim kulonem.

Jego cywilizacja to stare młynisko w ruczynnej naszej wiosce na Pobereżu. Jest tam grobla i gmach murowany i śluz i koła, a przechodzień oddalony, gotów-by pomyśleć sobie, że praca i klekot idą w nim porządkie; ale to nieprawda, bo grobla przerwana, staw wysychł dawno, woda na koła nie spada, młyn pustką stoi, w dzień goszczą zbiegli przed prawem, w noc szczerzy i strachy. Są tam formy młyna, jak u sąsiadów, ale nie ma już duszy.

Jego ideały — to zbiór staruszków, których różniennicy u sąsiadów dawno pomarli i głęboko pogrzebani zostali, z uszanowaniem, ale i z kołem w sercu, żeby, broń Boże, nie powstawali z grobów, na utraconie żyjących.

Jego aspiracja — to droga błędna, którą poszedłem, pewnego burzliwego wieczora, dając się zawieść staremu, omszałemu drogoskazowi. Drogoskaz stał, gościniec był, z początku szeroki i bity, ale im dalej, tem mniej wyraźny i częściej podzielony, aż mnie zawiódł między jary, połamane mosty, błędne ogniki i manowce. Szukając drogi do wsi, zwanej Postęp, trafiłem do karczmy spalonej. Przy niewyraźnej drodze stała tablica z napisem niewyraźnym: „Tu jest dobra gospoda dla ludzi i chudoby“. Kruk złowrogi siedział na niej i krakał. Z karczmy pozostały dwa kominy, jako świad-

ki i pomniki pożaru i nieszczęścia. Ostała się tylko szopa, w której bydło stepowe znajdowało schronienie przed ulewą, a w tej szopie musiałem i ja, zablakany, się przytulić. Była to słusna kara za szukanie własnej, krótszej drogi do wsi Postępu, kiedy cały świat szedł gościńcem, co dzie się metrów znacznym słupami, widniami jak dzień biały....

Wróćmy od tych przyrównań do opisu wyspy i wyspiarzy.

Kubańska roślinność, oile ją widać w Hawanie i w jej okolicy, zawodzi oczekiwanie turysty, który się cudów o bujnej zieleni podzwrotnikowej naczytał i nasłuchał. Prawda, że cały rok jest tu miesiącem Czerwcem i zawsze coś kielkuje i zawsze coś zakwita, ale też zawsze coś odkwita i umiera, bo tu niema jesieni, zabijającej wszystkich naraz. Suche liście i martwe gałęzie wciąż na trawniki spadają, szpecąc ich kobierce. Obok powojów świeżych wędną jaśminy wycieńczone. Gdy róże kwieciami ploną, opadają magnolie. Świeżość wiosny i zgrzybiałość zimy tak się dziwnie mieszają, że cały park traci część uroku. Tylko palmy, z których Kuba słusznie jest dumna, zawsze pysznie wyglądają.

Któż opisze zgrabność, wiotkość, symetrię i majestat palm antylskich? Obłok ich powiewnej zieleni wisi wysoko, jak ogniwo między niebem i ziemią. Rozrzucone po całej okolicy, szemrzą poważnie i stoją nieruchome, naksztalt żołnierzy na warcie. Najpospolitszymi rodzajami palmowymi w Kubie są drzewa kokosowe i tak zwane palmy królewskie. W ogrodzie botanicznym pod *Quinta*, czyli willą podmiejską gubernatora, na końcu *Paseo*, znajduje się zbiór palm najrozmaitszych z całego świata przesadzonych, tworzących aleje szerokie i arkady pełne cieniu, klomby i gęstwiny i labirynty. Platany i ostrowy bambusowe szeleszczą liściem nastrzępionym. Roje krasnych, głosu pozbawionych ptaszków, fruwią w tym czarownym gaju, nigdy nierażone promieniem słońca.

Zwyczaj kubański opisać jaknajwięcej. Interessa załatwiają się rano. Resztę dnia spędzają panowie w kawiarniach, a wieczory na *Paseo* lub zabawach. Palenie cygar i ploteczki, z niewieścią skwapliwocią chwytywane i powtarzane, są ich ulubioną rozrywką. Caballero zachodzi do własnego domu wtedy tylko, gdy się chce najeść lub przespać. Lubi politykę i czytuje gazety, wychodzące w dużych formatach, ale pracowitemu kształceniu umysłu i czytaniu książek poważnych ani minuty na dzień nie poświęci. Zazdrość jest jedną z wybitniejszych wad jego. Odziedzicza ją od Hiszpanów. Najlepsi przyjaciele powodzenia sobie zazdroszczą, a rozstawszy się czule, obmawiają się bez litości. Szulerstwo, nałóg powszechny, bywa najczęstszym powodem ruin majątkowych i nieszczęśliwego pożycia rodzinnego. Jakkolwiek udział wyspiarzy w sprawach publicznych jest prawami hiszpańskimi bardzo ograniczony, ich żywa ambicja polityczna, każe im się zapalczywie dobijać o mandaty do Kortezów w Madrycie i urzędy municypalne. Stronnictw jest kilka, podzielonych raczej między prowodyrów ambitnych, niż według zasad. Gdzie się tylko zbierze gromadka caballeros, wszczyna się zaraz wśród obłoku dymu tytoniowego zwawa, pełna krzyku i gwałtownej gestykulacji sprzeczka polityczna. Niedoświadczony widz myślałby, że się pobijają. Odgrzązać się Hiszpanom jest w modzie, ale majątni wyspiarze nie pochwalają spisków i powstań, wywoływanych, przez drobne mieszczanstwo, chłopstwo kreolskie i Mulatów, bo podczas zaburzeń publicznych plantacje ploną, a kredyt i wywóz w zastoju bywają. Młodzi Hawańczycy byliby radzi, jeśli by ktoś Hiszpanów bez ich pomocy do morza wrzucił, a potem ich samych urzędami posadami, przez zamorskich nasłanów zajmowaniami, obdzielił. Projekta zniesienia niewolnictwa są stanowczo niepopularne między nimi.

Zaufanie w trwałość unii z Hiszpanią, oraz obecnych stosunków społecznych i politycznych, jest małe, stąd kredyt ziemski i przemysłowy trudny. Handel znajduje się w ręku cudzoziemców. Waluta nie może powrócić do swej wartości. Cały naród jest tak niegodziwie, bez ładu i planu opodatkowany i obdzierany, że go tylko niewy-

czepane bogactwo Kuby w płody całego świata pożądane od ogólnego bankructwa ochrania.

Kreol lubi popisywać się przed ludźmi zbytkiem i hojnością i wystroić żonę i córki ponad stan, chociażby kosztem komfortu w domu.

Z wyjątkiem kilku grandów i hidalgów hiszpańskich, mieszkających na wyspie, bo dobra ziemskie na niej posiadają, niema innej arystokracji na Kubie, prócz pieniężnej. Składa się ona z dobrokiewiczów na plantacjach i fabrykach, gdzie pot niewolników wzbogaca pryncypałów. Są także bogacze, co się majątkowo handlem okrutnym dorobili, przywożąc w czasach dawniejszych Murzynów z Afryki. U Habanerosów, jak u Wespazjana, pieniądź, jakkolwiek drogą nabyty, nie ma zły woni, więc i wymieniona klasa spekulantów ogólną konsyderacją się cieszy. Cała kasta potomków parweniuszów ma być bardzo dumną, ale mieszczaństwo celuje grzecznością.

Cudzoziemiec dostaje zawrotu głowy od komplementów hiszpańskich, od etykietałnej grzeczności, z którą go wszędzie przyjmują, i od niezliczonych zapewnień, że wszyscy mu są gotowi służyć z całej siły, byle jeno zażądał. Tych słów nie trzeba brać dosłownie, ale, jak to mówił Dickens, w znaczeniu pikwikowym. Są to czcze frazesy, utarte zwyczajem, jak nasze „padam do nóżek“, a niemieckie „całuję rączki“, szkodliwe dla młodzieży, zmuszonej od dzieciństwa uczyć kłamliwych zapewnień i przyrzeczeń, co w niej charakter nieszczerzy wytwarza, a niezdolne dla cudzoziemca, który musi za nie, ze stratą czasu i fatygą nie małą, również próżnemi słowami płacić.

I tak, w chwili, gdy syt od stołu w restauracji wstaje, może go napaść znajomy wyspiarz, który go grzecznie, ale coraz gwałtowniej namawia będzie, żeby zjadł drugi obiad, na koszt namawiającego. Od tych nalegań, jak najlepsza komedia odgrywanych, trzeba się usilnie wymawiać, a tymczasem obaj wiedzą, że ani Kreolowi w głowie przyjaciela ufetować, ani-by gość był w możności wtóry obiad spożyć. Równą wartość, jak propozycja obiadowa, ma zwykle oświadczenie kreolskie na progu domu, że ta *casa* i wszystko co ona zawiera, do dyspozycji *usted*a, czyli samego gościa, pozostaje. Byłoby też bardzo niegrzecznie wziąć go za słowo, gdyby się napierał, żebyśmy przyjęli w prezencie jego łaskę, konia, zegarek lub jakikolwiek inny przedmiot, któryśmy pochwalili, a więc który on musiał nam zaraz rzekomo ofiarować, według hiszpańskiej etykiety. Jesliby też który z panów spotkał się z Kubańczykiem w Paryżu, a ten mieszkaniem dalekiego kraju mu oświadczył, że go przyjmie i trzymać będzie w swoim domu, gdyby Hawanę swą bytnością zaszczycił, i jesliby dalej tenże z panów rzeczywiście przypadkiem Kubę odwiedził i do dawnego znajomego się udał, mógłby doznać przygody, jaka się mnie wydarzyła: — obfity niegdyś w obietnice przyjaciel stał na balkonie i poznał mnie, ale kazał powiedzieć odźwiernemu, że go niema w domu.

Naśladować lepszych od siebie, motłoch uliczny także sady się na komplementy i kwieciste frazesy. Warto podsłuchiwać dwóch obdartusów hawańskich, jak się ceremonialnie o zdrowie małżonki ukochanych i konsolacyj wypytują, jak się żalą na stan wzajemnych apetytów, żołądków i t. d. a potem nagle z najwyższych szczydeł etykiety do nieskromnych, ulubionych sobie wyrazów i konceptów spadają, których-by słuchanie rumieńce wstydu na twarzy naszego parobka wiejskiego niezbyt, jak wiadomo, wybrednego w słowie, wypieкло. Wyspiarze lepszego wykształcenia lubią także swą konwersacją w podobny sposób przepłacać i obrażają łatwo ucziwe uszy.

Senorita kubańska, nawet jesliby nie była przystojną, co się rzadko trafia, posiada wdzięk nieopisany, od regularności rysów niezależny, tak długo trwający, póki, ach, niestety, nieszczerliwie *embopoint*, ten niszczyciel przedczesny urody kreolskiej, w otyłą jej matronę nie zmieni. Jej figurka bywa w kwiecie młodości zgrabną. Jej śliczna, krótka nóżka mknie po ziemi z zadziwiającą elastycznością. W ruchach łączy żywość z gracyą. Włosy umie Kreolka układać i mantylkę drapować tak malowniczo, że jej kształtna główka bez wstążek, kwiatów sztucznych, kapelusików i dyademów się obchodzi. Dostę jej jednej róży lub

kamelii. Jej wachlarz jest bronią niebezpieczną: wciąż się rusza, otwiera i zamyka z trzaskiem, zadając ciężkie rany sercu, w które mierzy. Pałające, zalotne źrenice Kubanki dobijają biedne, ranione serce. Senorita umie się podobać, jesli tylko chce, i pełnego niesmacznych komplementów sposobu przemawiania się pozbedzie, a czyni to zaraz, gdy próbuje skaptować. Jest pojętną, dowcipną, żartobliwą i w pierwszych kilku spotkaniach bardzo przyjemną towarzyszką. Dopiero po częstych rozmowach zaczyna być nudną, bo w braku edukacji wszelkiej, wyczerpuje prędko do dna szczupły zasób tematów, o których jej mówić, bez okazania swego ograniczenia, wolno.

(Dalszy ciąg nastąpi)

Korrespondencya zagraniczna.

Magnetyzer Donato. — Fundacya emerytalna dla nauczycieli szkół ludowych imienia Mickiewicza. — *Biała gołębka*. — Teatra letnie. — Kości w podziemiach „Spalonej akademii“. — Malarz Sidorowicz i Kalixt Orłowski. — Zakład chłopców sierociących pod wezwaniem św. Antoniego. — Festyn ludowy na dochód „Pracy kobiet“. — Karol Wild. — Spółzawodnictwo wydawnicze księgarń lwowskich. — Wydawnictwa księgarń Gubrynowicza i Schmidta. — Kompletne wydanie pism Mieczysława Romanowskiego. — *Biblioteka „Mrówki“*. — *Pan Tadeusz* z ilustracyami Andriollego. — *Poezyje* Bolesława Czerwieńskiego. — Medal przyznany przez Akademię hiszpańską Platonowi Kosteckiemu. — Wystawa Sztuk Pięknych.

Lwów, w Czerwcu 1881 r.

(Dokończenie)

Zadziwiającą małą wysokość dochodu wykazuje dział krawiecki, mianowicie: tylko 218 guldenów, podczas gdy wydatki na utrzymanie tego działu, jak się samo przez się rozumie, znacznie wyższe być musiały. Moznaby mniemać, że przyczynę tak małej liczby zamówień, takiej przerażającej, rzecz można, obojętności dla Zakładu, stanowi złe wykonywanie zamówionych robót, niezadowolenie stron zamawiających. Ale tak nie jest. Nie zdarzyło mi się jeszcze słyszeć skargi na złą robotę wyszłą z Zakładu „Pracy kobiet“: przeciwnie, wszyscy chwalą i smak dobry i wykonanie i taniość; a kto raz spróbował i sam się o tem przekonał, pewno na przyszłość gdzieindziej z zamówieniem się nie uda. Gdzież więc szukać tego objawu nieusprawiedliwionego niczem? Oto nie w czem innem jeno w kaprysie mody i... w taniości roboty. „Praca kobiet“ nie używa tych sposobów reklamy, tych rozmaitych olśniewających pozorów, które są konieczne, aby ściągnąć na siebie uwagę modnego świata; „Praca kobiet“ nie wyzyskuje zamawiających, robi tanio, i tem się gubi. W wyobrażeniu wielu osób nadających ton i kierunek modzie taniość wyrobu jest jego pierwotnym grzechem, który nigdy nie może być przebaczonem. Tania suknia przez to samo, że tania, nie może już być, według tych wyobrażeń, ani dobrze zrobioną, ani gustowną i modną. Smutno to powiedzieć, że tak tu, jak i na innych polach, w społeczeństwie błaga odnosi częstokroć pierwszeństwo nad pracą i usługą prawdziwą i jeszcze sobie z nich dworuje.

Smutną podać muszę wiadomość: upadek księgarń Karola Wilda, tej zasłużonej, stułetniej prawie firmy, która przez długie czasy była, można powiedzieć, ogniskiem rozbudzającym ruch czytelnicy, wydawniczy, a poniekąd i literacki, w Galicyi, i to w najtrudniejszych, w najnieprzejazniejszych wszelkiemu życiu umysłowemu czasach. Milikowski i Wild: to dwie najstarsze księgarnie galicyjskie. Dzisiaj jest ich wiele, nietylko we Lwowie, ale każde niemal większe miasto powiatowe ma swoją księgarnię, która zasila okolicę wszelkiego rodzaju pras drukarskich płodem. Firma Karola Wilda w dziejach księgarstwa galicyjskiego ma zasługi, ma przeszłość taką, jaką żadna inna z tutejszych księgarń pochlubić się nie może. Zasługi te liczą się jeszcze z dziada i ojca. W bardzo ograniczonym zakresie wydawnictw z czasów, kiedy zakresu tego nie można

było dowolnie rozszerzyć, co tylko lepszego pod względem literackim, lub naukowo-praktycznym, technologicznym, ukazało się w Galicyi, nosi firmę jednej z powyższych dwu księgarń, Milikowskiego lub Wilda. Najzasłużeńszymi atoli na tem polu jest dzisiejszy reprezentant firmy, znany zarówno z wykształcenia literackiego, jak z wykształcenia w księgarstwie, Karol Wild, który pomimo tego wszystkiego skutkiem niepomysłnego zbiegu okoliczności, wywołującego coraz trudniejszą komplikacją stosunków i niepowodzeń, uleść musiał konieczności i zamknąć księgarnię. Przed laty trzydziestu objawszy ją, młody wówczas i pełen energii, na powołanie księgarza z wyższego zapatrujący się stanowiska, rozwinął zaraz od początku czynność wydawniczą i zawiązał stosunki z najznakomitszymi pisarzami społecznymi. Był stałym nakładcą dzieł Szajnochy; on-to zachęcił Szujskiego do napisania *Dziejów Polski*, które nakładem swym wydał następnie. Wszystkie wydawnictwa księgarń Wilda odznaczały się wartością, bądź naukową, bądź literacką i pożytecznością potrzebom chwili odpowiadającą. Kiedy przed laty piętnastu zaczęto przeprowadzać reformę szkół w Galicyi, a język wykładowy polski zastąpił dawniejszą niemieczyznę, zkał wynikała nagle potrzeba polskich książek szkolnych i podręczników naukowych wszelkiej treści. Wild przerzucił się niemal całkowicie na pole wydawnictw pedagogicznych, objął nakład czasopisma „Szkoła“, zawiązanego za jego inicjatywą przez grono profesorów lwowskich, a otrzymawszy stosowną subwencją, tytułem zwrotnej zaliczki, od sejmu, przedsięwziął na wielką skalę wydanie polskich książek szkolnych dla wszystkich szkół nowym planem reorganizacyjnym objętych, w którym-to celu zawarł umowę z najzdolniejszymi profesorami i pedagogami, znanymi na polu piśmiennictwa, bądź o przekład wzorowy dawniejszych książek szkolnych i podręczników nauczycielskich, bądź o napisanie nowych oryginalnych, według wymagań programatu szkolnego. Tym sposobem w chwili najważniejszej zaopatrzył szkoły krajowe i spełnił na razie zadanie, które obecnie przejęło na siebie Towarzystwo Pedagogiczne. Długo Wild walczył z całym wysiłkiem przeciw wikłającym się coraz bardziej trudnościom, a gdy pomimo tego nie zdołał odwrócić katastrofy od swej stułetniej prawie firmy, wieść o upadku księgarńi przyjęto z powszechnym ubolewaniem i życzeniem, aby stosunki tak pomysłnie się ułożyły, iżby księgarnia ta niebawem nowo otwartą być mogła.

Na polu wydawniczym posiadamy obecnie dwie księgarnie, których czynność pod tym względem chlubnie się uwidatnia, mianowicie, księgarnię Gubrynowicza i Schmidta i Księgarnię Polską, pozostające z sobą w otwartej walce spółzawodniczej. Wydawnictwa p. p. Gubrynowicza i Schmidta, na szerszy rozmiar prowadzone, przysporzyły już i przysparzają ciągle coraz więcej dzieł doborową odznaczających się treścią. Tutaj nawiasem tylko wspomnę: *Ekonomi* prof. Bilińskiego, *Opowieści* historyczne d-ra Antoniego J., *Szkice historyczne* Kubali i t. d. Największą może zasługą czynności wydawniczej p. p. Gubrynowicza i Schmidta jest *Biblioteka pisarzy polskich*, w której pomieścili kompletne dzieła najznakomitszych naszych pisarzy, jak Bohdana Zaleskiego, Krasińskiego, Słowackiego. Ich też zasługą jest wydanie pierwszego, stodwutomowego *Zbioru powieści J. I. Kraszewskiego*. Obecnie znajdują się pod prasą *Kompletne pisma J. Kitowicza*, rozpoczynające się jego *Pamiętnikami* czyli, jak sam w pierwotnym nazwał rękopiśmie, *Histori*ą *polską* drugiej połowy XVIII wieku, spisana z naocznego świadectwa, z tego najlepszego wszelkiej historii źródła; dalej drugie wydanie *Szkiców Kubali*, których pierwszego wydania szybkie, niemal w ciągu jednego roku, wyczerpanie za najlepszy dowód ich wartości służyć może; powtórne wydanie *Estetyki* Lemckiego; druga część *Systemu ekonomii społecznej* prof. Bilińskiego; *O budowie kolei żelaznych* inżyniera Gostkowskiego; wreszcie Karola Estreichera *Wincenty Pol, jego młodość i otoczenie*, monografia spisana z rozmaitych społecznych notat i wspomnień, zawierających wiele szczegółów uzupełniających wize-

runek sympatycznej postaci ulubionego śpiewaka naszej ziemi i domu, naszej rycerskiej i szlacheckiej przeszłości, szczegółów dostarczonych w znacznej części autorowi przez Januarego Późniaka, towarzysza młodości Pola i spokrewnionego z nim. Oprócz dzieł wymienionych powyżej, znajdujących się pod prassą, wyjdą jeszcze w ciągu bieżącego roku nakładem Gubrynowicza *Pisma Mieczysława Romanowskiego*, pierwsze zbiorowe wydanie, zebrane i ułożone przez prof. Amborskiego. Przed laty dwudziestu, kiedy Romanowski w pełni młodzieńczego natchnienia, ze świetną zapowiedzią przyszłości, wstępował na pole piśmiennicze, wyszło w osobnych oddziałkach parę jego poematów; wielka zaś ilość rozmaitych pomniejszych poezji rozrzucona pozostała w ówczesnych pismach periodycznych, najwięcej w lwowskich *Nowinach* i *Dzienniku literackim*, tudzież w tece pośmiertnej. Znalazło się tam kilka rozpoczętych na wielki rozmiar poematów i dramatów, z przedhistorycznych legend na wzór *Popiela* i *Piasta* osnutych. Wydawca miał przeto bardzo żmudne zadanie, chcąc zbiór poezji Mieczysława Romanowskiego uczynić jaknajkompletniejszym, zadanie wyszukania tych wszystkich rozrzuconych, a po większej części zapomnianych już dzisiaj drobnych utworów młodzieńca-poety, pomiędzy którymi mieszczą się i prawdziwe perły natchnienia, godne przechowania. Aby je odszukać i zgromadzić, potrzeba było przejrzeć wszystkie dzienniki społeczne, do których Romanowski pisywał, przejrzeć karta za kartą, bo przy wielkiej łatwości tworzenia pisał on i drukował bardzo wiele. *Nulla dies sine line*, nie było dnia bez wiersza, bez kilku chociażby zwrotek, bez rymowego przynajmniej zapisku mającego służyć za materiał do jakiegoś poematu lub wiersza, do jakiejś zamierzonej obszerniejszej kompozycji. Uporządkowanie tych zapisków, tego mnóstwa urywków pozostawionych w tece, odszukanie co do czego należy, w myśl autora, oile się dało, było pracą niemałą, którą przedsięwziął p. Amborski, a która wiele mu czasu zabrała. Przed oddaniem uporządkowanego rękopisma pod prassę użył go do przejrzania gronu swych przyjaciół na towarzyskiem zebraniu literackim, na którym oprócz wielu nieogłoszonych dotąd nigdzie pomniejszych wierszy ś. p. Romanowskiego, odczytano cały jeden akt dramatu z pośmiertnej teki, zawierającego wiele piękności poetycznych i dziejowej charakterystyki.

Księgarnia Polska wydała już dwadzieścia tomików na drugą serię „Biblioteki Mrówki“. W skromnej powierzchowności jest to nadzwyczaj pożyteczne wydawnictwo, albowiem podaje przedruki rzeczy dobrych a mało znanych po nadzwyczaj niskiej cenie i tym sposobem rozpowszechnia je w kręgach czytelnich, którym, gdyby nie to ułatwienie, pozostałyby nieprzystępnymi albo i wcale nieznanymi. Tych sto dwadzieścia niepokazanych, małego formatu, tomików ileż-to one już rozszerzyły światła, rozpowszechniły wiadomości, ile cennych arcydzieł literatury na swych drobnych kartkach rozniosły po świecie! Dziesięć groszy za książeczkę to tak niewiele! któż nie rzuci ich chętnie za piękny poemat Syrokomli, Brodzińskiego lub Niemcewicza, za wywórepny w handlu ten lub ów z cenniejszych utworów literatury epoki Stanisławowskiej lub złotego Zygmuntońskiego wieku? W roku bieżącym w nowej serii podaje „Biblioteka Mrówki“ obok *Pieśni utana* Maurycego Gosławskiego, parę sielskich gawęd Syrokomli, *Zgon Acerna* i *Wielki czwartek*, dwie znane rozprawy Spasowicza *O Syrokomli* i *Wincentym Polu*, zawierające dość trafnej charakterystyki w poglądzie na stanowisko, usposobienie i kierunek obu poetów, pod pewnym względem do

siebie zbliżonych, chociaż Syrokomla, jeżeli porównamy gawędę jego i poemata z najcelniejszymi utworami Pola, nie dorównywa mu talentem twórczym i oryginalnością formy stworzonej przez śpiewaka pieśni Januszowych i autora starszszlacheckich gawęd, którą Syrokomla tak chętnie a z takim wdziękiem i prostotą naśladował. Dalej mamy w tegorocznej serii „Biblioteki Mrówki“ *Żywot człowieka poczciwego* Mikołaja Reja, mało dzisiaj stosunkowo znane arcydzieło starej daty, godne rozpowszechnienia, chociażby już dla samego języka, tak wyraziście rzeźbiącego myśl każdą, iż wobec dzisiejszego skażenia mowy i stylu z prawdziwą rozkoszą, jakby z orzeźwiającego źródła, czerpie się tam owe formy i wzory, na których się styl pełen klasycznej szlachetności i prostoty złożył epoki Zygmuntońskiej. Obok Reja mamy w tegorocznej „Bibliotece Mrówki“ *Klonowicza Worek Judaszów* Niemcewicza *Lejbe i Siora*, romans tendencyjny, który i dzisiaj jeszcze w obecnych naszych stosunkach, pomimo zaszłych tak wielu zmian w postępie wyobrażeń i organizmie społeczeństw w ogóle, zawsze jeszcze nieprzedawnione zawiera prawdy, rozświecając ciemnie talmudycznych przesądów. Ostatnią książeczką z wydawnictwa „Mrówki“ jest *Dziennik podróży Kopcia* z nowszych czasów.

P. Altenberg, który nabył tutejszą księgarnię Richtera, i pod dawną firmą ją prowadzi, wydaje zeszytami *Pana Tadeusza* z ilustracjami Andriollego w dużym arkuszowym formacie. Wyszedł już zeszyt trzeci. Pomimo świetnego talentu Andriollego, który obok Kossaka jest niezaprzeczenie najznakomitszym u nas ilustratorem, wydanie niniejsze nie odpowiedziało oczekiwaniom, albowiem ilustracje, przy pewnych zresztą zaletach artystycznych, nie posiadają tej prostoty Mickiewiczońskiej w układzie kompozycji i rysunku pojedynczych postaci, jaka wieje z poematu Mickiewicza i jest charakterystycznym znamię *Pana Tadeusza*. Ilustrowanie Mickiewicza jest z tego właśnie powodu tak trudnym zadaniem, że, nie mówiąc już o takich ilustratorach jak Tysiewicz, niefortunny ilustrator *Konrada Wallenroda*, lub Korneli Szlegel, który ilustrował Mickiewicza, równie niefortunnie całym szeregiem obrazów olejnych, ale nawet tak znakomity talent jak Andriollego nie łatwo przezwalczyć je zdoła. Dostę tu przytoczyć Zosię, tę uroczo naiwną postać dziewczęcą, której nikt jeszcze odtworzyć nie potrafił, tak jak się ona pod piórem Mickiewicza zarysowała w naszej wyobraźni. *In magnis voluisse sat est*; gdyby ta zasada dała się zastosować na polu artystycznym, ilustratorowie Mickiewicza mogliby mieć spokojne sumienie.

Wyszedł tomik *Poezji Bolesława Czerwieńskiego*. Młody autor poraz pierwszy występuje tutaj przed publicznością ze zbiorem zawierającym wiele pięknych wierszy drukowanych już dawniej po rozmaitych czasopismach, najczęściej bezimiennie. Pisane były one, jak sam autor zaznacza w przedmowie, pod wrażeniem chwili, mają też na sobie cechę chwilowych usposobień i uczuć autora, a dodalibyśmy także, i pewnych tendencji społecznych. Niepowiązane treścią a różniące się bardzo pomiędzy sobą formą, w niektórych poważną i podniosłą aż do najszczytniejszego liryzmu, w innych bardziej epiczną lub zaprawną dosadnym sarkazmem, nastroczały one autorowi niemało kłopotu pod względem systematycznego uporządkowania do druku. Ostatecznie okazało się niepodobieństwem trzymanie się jakiegokolwiek ściśle określonego systemu w układzie i autor podzielił je, pomijając wszelkie inne cechy, na dwie kategorie, na *poważniejsze* i *lżejsze* treścią i formą, i w takim układzie podał czytelnikowi. Talentu poetycznego i łatwości formy

posiada wiele p. Czerwieński, a myśl szlachetna przy miłości kraju i społeczeństwa, myśl uszlachetnienia ludzkości i ulżenia niedostatkowi i nędzy światowej brzmi w jego poezjach zasadniczym akkordem, czy-to w podniosłej odzie, czy w szate Hejnowskiego żartu owinięta, zszyderczym uśmiechem przez łzę pełną goryczy na ulomności i zbrodni świata spoglądająca. W tym ostatnim mianowicie rodzaju celuje talent p. Czerwieńskiego, i moglibyśmy wiele przytoczyć, ku prawdziwej przyjemności czytelnika, gdybyśmy pisali recenzję, a nie wzmiankę korespondencyjną.

Pan Platon Kostecki, jak wiadomo, napisał wspaniałą odę na cześć Kalderona, która odniosła zwycięstwo na konkursie europejskim, ogłoszonym z powodu dwóchsetnej rocznicy zgonu hiszpańskiego poety; obecnie zaś otrzymał przyznany mu złoty medal, drogocenną pod każdym względem oznakę uznania poetycznego talentu. Dawniej poetów wieńczono na Kapitolu. Ze zmianą stosunków praktyczniejszy pod każdym względem wiek XIX szle wybrancom natchnienia zamiast wawrzynowego wienca złote medale. Jedno drugiemu nie ustępuje, będąc tylko odmiennym wyrazem hołdu, oddanego poetycznej twórczości. Piękna to i chlubna nagroda, jak wszystko cokolwiek dodaje rozgłosu imieniu polskiemu na szerokiej widowni prac i postępu europejskiego. Medal przysłany p. Kosteckiemu jest przeszlicznej roboty, szczerozłoty, wagi równej pięciuset frankom w napoleondorach. Na jednej jego stronie jest pięknie rzeźbione popiersie Kalderona z napisem w otoku: „*Segundo centenario de Don Pedro Calderon de la Barca*“, a u spodu podpis medaliera: *J. Esteban Lozano*. Na odwrotnej stronie, w górze, w wypuklorzeźbie wyobrażony herb akademii hiszpańskiej; na ołtarzu z ciosanego kamienia trójnog z urną, zpod której bucha ogień i wznoszą się dymy i płomienie; wśród nich znajduje się napis: „*Limpia faja i da esplendor*“ (Oczyszcza, umacnia i oświeca). Poniżej, w takiejże wypuklorzeźbie wieniec wawrzynowy ze wstęgą, na której napis: „*Al mas digno*“ (Najgodniejszemu). Zpod wstęgi wybiegają po obu bokach i przechodząc środkiem obejmują spód medalu dwie gałązki palmowe. Całość artystycznie wykonana, sprawia bardzo miłe wrażenie. Do medalu dołączony jest dyplom akademii hiszpańskiej, z podpisami prezesa i sekretarza dożywotniego.

Mamy już od dni kilku otwartą wystawę sztuk pięknych. Zapowiedziana na Maj wystawa spóźniła się w tym roku o kilka tygodni i dopiero w połowie Czerwca otworzono ją z powodu opóźnienia w przesyłce wielu spodziewanych obrazów. Do dzisiejszego dnia nawet wystawa nie skompletowana jeszcze. Więc też i sprawozdanie o niej odłożymy do następnego listu, gdy się już przedstawi w całym bogactwie, na jakie ją stać będzie w tym roku.

Władysław Zawadzki.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się arkusz 6-ty powieści pod tyt.: *Róża wśród cierni*.

Ogłoszenia do BLUSZCZU przyjmuje wyłącznie kantor agenturowy BERNARDA BERSOHN w Warszawie przy ulicy Nowy-Świat Nr 67.

TREŚĆ. Osierocona lutnia Jakóba Barta, (poezya), przez Melanię Parczewską. — Miłość czy Rachuba? powieść, (dalszy ciąg), przez El-em. — Elżbieta Jerichau Baumann, (życiorys), przez A. N. — Wystawa zabytków przemysłu pięknego. — Preludium Szopena, Obrazek dramatyczny, (dokończenie), przez M. Gawalewicza. — Korespondencya zagraniczna, Wiedeń, (dokończenie). — Życie pod zwrotnikiem, (dalszy ciąg), przez Sygurdę Wiśniowskiego. — Korespondencya zagraniczna, Lwów, (dokończenie).

Warszawa.—Druk S. Orgelbrandta Synów, ulica Bednarska Nr 20.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 21 Юля 1881 года.

RÓŻA WŚRÓD CIERNI

POWIEŚĆ

przez autorkę „Stefana Lawrence“

przekład z angielskiego.

(Dalszy ciąg).

ROZDZIAŁ XIV.

Dwunasta biła na wielkim zegarze w Clydesdale, a uderzenia rozlegały się daleko w czystym wiosennym powietrzu. Słońce jasno świeciło, ptaki nawoływały się pomiędzy drzewami, a piękne kwiaty wiosenne były w pełnym rozkwicie. Cała natura zdawała się radować w miasteczku Rodney i dużem siele Compton, które należało do dóbr Clydów. Dzwony kościelne odezwały się wesoło na przyjęcie młodego dziedzica.

Floryna słuchała z bijącym sercem, w którym było i trochę zazdrości.

— Nie były tak dla mnie dzwony — ozwała się.

— Nikt przecież nie wiedział o twojem przybyciu — odparła jej Eleonora. — Ale dla czego ty płaczesz, Floryno, kiedybyś radować się powinna?

— Nie mogę zapanować nad sobą, Eleonoro, zawsze śmieję się i płaczę nie w porę.

— Obie panie stały na tarasie, nadsłuchując turkotu powozu.

— Czy słyszysz, Floryno? — rzekła Eleonora.

— Tak — odrzekła Lady Clyde — słyszę, już jadą. Oh! Eleonoro, drzę cała! O mój drogi chłopiec! Upadnę jeżeli mnie nie podtrzymaś.

— Uspokój się Floryno, pamiętaj na przestrożę siostry aby dziecka nie drażnić. Czy mam odejść już teraz, będziesz wołała sama ich przywitać.

— Nie, nie opuszczaj mnie teraz — zawołała Floryna, czepiając się ramienia Eleonory. — Zaczekaj — wyjdź sama na ich przyjęcie. Nie mogę iść teraz. Przywitam ich później.

— To będzie najlepiej, uspokój się tymczasem, Floryno. Eleonora odeszła, a Floryna, oparłszy się na kamiennej balustradzie, zaniosła się od płaczu.

Wyszedszy na ganek, Eleonora ujrzała najpierw wysiadającą wysoką damę w czarnej, powłóczystej sukni; za nią ukazał się śliczny chłopczyk w aksamitnym ubraniu, z pierścieniami złotych włosów spadającymi z pod małej szkockiej czapeczki; наконец wysiadła porządnie ubrana, przyzwoita kobieta, zapewne bona dziecka.

— Alfredku, mój drogi — odezwał się nakazujący głos lady Leestone, wchodząc do domu, zdejmując czapkę.

Mała istotka z czapczką w ręku wstąpiła na schody ganku, gdy nagle dwie ręce łagodnie ją objęły i jasna twarz, zroszona łzami okryła ją pocałunkami.

— O Alfredku, synku Ruperta, przybyłeś narreszcie.

Dziecko spojrzało zadziwione na piękną panią, ale znalazło, że jego powaga została naruszona temi namiętnymi uściskami.

— Dla czego pani płacze? — zapytał chłopczyk.

— Bo tak jestem rada, że cię widzę, Alfredku! Tak kochałam twego tatke!

— Tatke co w niebie — wyszeptano dziecko.

— Tak, — odparła Eleonora — drogi twój tatka poszedł do nieba.

Dziecko w milezeniu trzymało ją za rękę, podczas gdy wyniosła dama, towarzysząca mu, przybliżyła się. Eleonora podeszła naprzeciw niej.

— Zapewne mam przyjemność powitać Lady Leestone — zapytała z najmielszym uśmiechem.

A Lady Leestone, odpowiadając twierdząco, cofnęła się prawie, uderzona jej przedziwną pięknością.

.....
Już późno wieczór Adryan wrócił do domu. Skoro wszedł do sieni, zapytał żywo lokaja, czy Lady Leestone i jej siostrzeniec, przybyli i bardzo się ucieszył, usłyszawszy twierdzącą odpowiedź. W tej chwili Eleonora wyszła do sieni.

— A więc są tu, Noro? — zawołał. — Clydesdale ma znowu dziedzica.

— Tak, przyjechali; a jaki śliczny chłopczyk, Adryan! Oczy jego błyszczą, jak dwie gwiazdki. Wygląda na książątka; a tak ładnie szczebiocze! Już go kocham i zazdroszczę Florynie praw jakie ma do niego. Oddałabym Clydesdale i diamenty Clydów, gdyby do mnie należały, za takiego Alfredka.

— Rad jestem, że chłopiec jest ładny — rzekł Adryan. Przecie go dziś jeszcze zobaczę?

Śmiejąc się Eleonora zaczęła rachować na palcach, Adryan patrzył na nią zdziwiony.

— Co to ma znaczyć Noro?

— Chcesz zobaczyć Alfredka; rachuję, aby ci dokładnie powiedzieć, o wiele pozwoleń musisz przedtem prosić. Najprzód wspaniałą Lady Leestone, potem Lady Clyde, potrzecie panią Brunton, bonę, po czwarte Mary Dormer, która jest nianką. Czy masz na to dosyć odwagi?

— Tak, a nawet więcej, aby zobaczyć syna Ruperta. Nie mógłbym zasnąć nie zobaczywszy go.

— Chodź do salonu to cię przedstawię komitetowi — zaśmiała się Eleonora.

— Jak wygląda Lady Leestone, Noro! — zapytał Adryan z pewnem wahaniem.

— Wysoka, majestatyczna, dumna i wyraźnie zdecydowana ciągnąć jak największe korzyści ze stanowiska siostry.

— Czy myśli tu zamieszkać? — spytał.

— Nie sądzę. Mówiła coś o dwóch latach, ale zapewne wkrótce się dowiemy o jej postanowieniu. Chodź do salonu, Adryanie.

— Muszę się przecie ubrać przyzwoicie, bo i naczaj Lady Leestone mogłaby zaszytutować mnie wzrokiem — rzekł Adryan. Jestem zakurzony, a to mi przypomina, Noro, że pierwszy raz pozwoliłaś mi powrócić nie pocałowawszy mnie.

— Wyszałowałam wszystkie pocałunki dla syna Ruperta — odparła.

— Stanę się zazdrosnym o syna, jak nigdy nie byłem o ojca. — Za dziesięć minut jestem w salonie. — Ale zapomniałem cię zapytać, jak Floryna syna przyjęła.

— Nie byłam przytem, ale słyszałam jej namiętny płacz. Z początku była dziwnie wzruszona, ale Lady Leestone uspokoiła ją kilku słowami. Ma nad Floryną ogromną władzę.

— Spodziewałam się tego — rzekł — prawdziwą panią na Clydesdale nie będzie Floryna. Mówię ci, Noro, zobaczymy tu różne rzeczy. Narzekanie nie nie pomoże, ale pragnąłbym: aby rzeczy mogły się jako ułożyć.

Mówiąc to pobiegł na schody, a Eleonora weszła do salonu.

ROZDZIAŁ XV.

— Czy pan Clyde powrócił — zapytała Lady Leestone. — Jeżeli to jego głos słyszałam, jakże podobny do głosu Ruperta!

— Będziesz zdumiona, Klaro, gdy zobaczysz, Adryana — rzekła Floryna. — Tak jest podobny do mego męża, że czasem to podobieństwo mnie przeraża.

— Byli stryjeczni braćmi, jeżeli się nie mylę — zapytała Lady Leestone.

— Tak — odparła Eleonora.

— Zauważyłam, że często między stryjeczni braćmi spotyka się większe podobieństwo niż między rodzonymi — rzekła Lady Leestone.

W tej chwili Adryan wszedł do pokoju i zatrzymał się w progu przez chwilę, przypatrując się ładnemu obrazkowi, jaki mu się przedstawił. Obie siostry siedziały na otomance pod dużym świecznikiem: Lady Leestone majestatyczna, w czarnych jedwabiach i krepie; Lady Clyde ożywiona i tryumfująca. Eleonora klasycznie piękna stała obok nich. Adryan zbliżył się do Lady Leestone z wyciągniętą dłonią.

— Nie potrzebuję się przedstawiać — rzekł. — Witam panią w Clydesdale! Spodziewam się mylady, żeś miała przyjemną podróż i że Alfredek zdrow zupełnie.

— Dziękuję panu, przebyliśmy drogę szczęśliwie, a podróż jest bardzo miła w tej pięknej okolicy. Clydesdale ma śliczne położenie, winszuję memu siostrzeńcowi jego pysznego dziedzictwa.

Mówili ze sobą kilka chwil, a Adryan doznał wrażenia, jakby majestatyczna Lady Leestone była panią tego domu, a on prostym jej gościem. Nie mógł powiedzieć, jak do tego przyszło, ale czuł, że zajmuje tu podrzędne miejsce.

— Przychodzę prosić o łaskę — rzekł po chwili — moja żona mówiła mi, że nie łatwo zostanie mi udzielona.

— Eleonora ma nas zatem za osoby bardzo trudne w pożyciu! — zawołała Floryna.

Nie byłoby dla niej nic miłszego w tej chwili nad „familijną bitwę“, jak nazywała rodzinne sprzeczki. Była właśnie do tego usposobiona, bo nie czuła się dość wybitnie pani na Clydesdale, a teraz wrócił już jej dobry humor i śmiałość. Lady Leestone i mały Alfred zdawali się o wiele ważniejszymi osobami, a przecie ona była matką dziedzica. Ale łagodna Eleonora nie podniosła rękawicy tak uprzejmie rzuconej Floryną nie została zadowolona. Mówiąc później o Eleonorze powiedziała do siostry. — Ta piękna Nora jest jedną z tych nudno uprzejmych kobiet, które przebudzą przez życie z wiecznym uśmiechem na ustach i nie sprawiają żadnego wrażenia. Lubię kobiety dowcipne.

Lady Leestone odrzekła na to. — Należy ci uważniej patrzeć Floryno; Eleonora Clyde, nie samą tylko uprzejmość posiada.

Ale Floryna nie lubiła łagodnej natury Eleonory, a głównie może jej piękność gniewała ją i to, że Adryan uważał żonę za kobietę wyższą.

I wtedy też przy docinku Floryny ujął się za nią.

— Eleonora nie myśli nic podobnego, nie ma do tego powodu — rzekł. Zanoszę prośbę do pań obu — dodał — a nie wiem czy będzie wysłuchana.

— Sądzę że z góry zezwolić możemy — rzekła Lady Leestone, którą gniewał zły humor Floryny i starała się być jak najuprzejmiejszą. — Cóż pan żąda, panie Clyde?

— Tak bardzo pragnąłbym zobaczyć Alfredka. Nie mógłbym usnąć, nie ucałowawszy na powita-

nie syna mego drogiego towarzysza młodości — mego brata.

— Złes pan zwrócił swą prośbę — zaśmiała się Lady Leestone. — We wszystkim co się tyczy Alfredka, musimy słuchać Brunton.

— Kto jest ta Brunton? — zapytał Adryan. — Ale wiem już, to bona! czy pani sądzi, że nie pozwoli?

— Koniecznie chcesz go pan dziś widzieć?

— Prawdziwie tęskno mi do niego — rzekł Adryan poważnie.

— A więc zaczekaj pan. Pójdę sama rozmówić się z Brunton.

— Wszyscy zdają się zapominać, że ja jestem matką Alfredka — wtrąciła kwaśno Floryna. — Adryanie dla czego nie mnie prosiłeś.

— Przez grzeczność musiałem się zwrócić do twojej siostry, która się dotąd dzieckiem opiekowała — rzekł. — Jeżeli wszystkie rozmowy rodzinne będą do tej podobne — pomyślał w duchu to nie zawsze będą przyjemne.

— Floryno, — odezwała się Lady Leestone tonem łagodnej wymówki — jesteś zmęczoną dziś wieczór i to cię robi grymasną. Mam nadzieję, że pan Clyde zechce ci przebaczyć.

Lady Leestone uśmiechnęła się uprzejmie do Adryana i powstała z kanapy, lecz Adryan zauważył, że była blada i ręce jej drżały. Nie mógł pojąć dla czego. Czyżby ta majestatyczna, dumna lady miała się obawiać bony? Przeszła ze zwykłą godnością przez salon, a Adryan widział, że i Eleonora uważa w niej zmianę. Żartobliwym sposobem rzekł do Lady Clyde.

— Czy bona Alfredka jest wielkim Mogolem, Floryno?

— Dla czego? — spytała.

— Bo widzę, że nawet twoja siostra jej się lęka — Wiem że nianki często tyranizują swoje panie, kiedy się czują niezbędne.

— Brunton, nie jest tyranką, ale troskliwie czuwa nad dzieckiem i strzeże pilnie, abyśmy go nie męczyły.

— Kochany chłopiec! — zawołał śmiejąc się Adryan. Gdyby był następcą tronu przystęp do niego byłby może łatwiejszy. Chodź Floryno, spróbujmy szczęścia.

Floryna się zmieszala.

— Pójdiesz z nami Eleonoro? — rzekła.

— Nie, za dużoby nas tam było — odparła.

— A więc i ja zostanę — powiedziała Floryna. Ale Adryan się oparł temu.

— Nie, rzekł — to twój syn i twój skarb, nikt inny nie powinien mi go przedstawić.

Komplement ja ucieszył, ale z dziwnie pomieszaną twarzą zbliżała się do dzieciennego pokoju. Lady Leestone stała w progu czekając na nich była jeszcze blada.

— Możecie wejść — rzekła — bona pozwala; i weszli wszyscy troje.

.....

Pokój dziecinny w Clydesdale był obszerny i widny, wysłany miękkim dywanem i miał śliczny kominek pięknie rzeźbiony. W tej chwili przedstawiał nęcący obraz wygody. Palił się jasny ogień, a bona siedziała czytając przy łagodnym świetle lampy. W rogu, starannie zasłonięta od światła, stała kołyska w której spał dziedzic Clydesdale.

Lady Leestone położyła palce na ustach na znak milczenia, a Adryan zbliżył się cicho do kołyski, choć mu się to wszystko wielce śmiesznem wydało.

Nie widział nigdy ładniejszego widoku. Mała istotka w białym nocnym odzieniu, tak wdzięcznie wyglądała głęboko uspiąca. Jedną rączką chłopczyk trzymał jeszcze książkę z obrazkami, a lalka o jednym oku leżała koło niego.

— Niech go Bóg błogosławi — pomyślał Adryan i pochyliwszy się dotknął ustami małej główki. Wpatrzył się w nią uważnie, ale nie znalazł żadnego podobieństwa z rodzicami. Podniósłszy oczy w tej chwili zobaczył Lady Leestone obserwującą go bardzo uważnie. Patrzyła na niego przenikli-

wym wzrokiem. Wyraz ten znikł, skoro tylko spotkały się ich oczy.

Gdy wracali do salonu Adryan widział, że Lady Leestone drżała idąc. Floryna była też silnie wzruszona, ale na jej zachowanie się nikt już nie zwracał uwagi. Z podziwieniem Adryan patrzył na Lady Leestone. Wzięła książkę ze stołu, ale ta wypadła z jej drżącej ręki, ujęła poręcz krzesła, ale nie mogła go posunąć. Nie podobna było nie widzieć tego i czuła ona, że uwaga Adryana jest na nią zwrócona. To jej dodało odwagi.

— Nigdy prawie nie choruję — rzekła do niego, ale dziś nie dobrze się czuję. Wstałam dziś bardzo rano i jestem niezmiernie zmęczona, ledwo się trzymam na nogach.

Adryan doznał ulgi na te słowa.

— Pozwól sobie pani podać kieliszek wina — rzekł i wyciągnął rękę do dzwonka.

— Dziękuję panu — rzekła — zadzwonię sama gdy czego zażadam.

Uczuł co niewątpliwie chciała mu dać poznać, a to, że ona tu jest panią. Adryan się skłonił z godnością. Będziemy mieli przyjemne dwa lata jak widzę — pomyślał.

Zwróciła się zaraz ku niemu, starając się mówić spokojnie i uprzejmie.

— Co nam pan powiesz o chłopcu? — spytała. Chciała przytem nadać głosowi ton wesoły, ale czuć było, że się przymusza.

Szlachetne serce Adryana, poruszyło się na te słowa; zapomniał o wszystkim, widział tylko małą główkę, którą przed chwilą całował.

— Co ja o nim mówię? — zawołał — musiałbym być poetą, aby to wyrazić. Jestem nim zachwycony! Musisz być najszcześliwszą z matek, Floryno; twój syn jest piękny jak marzenie.

Czarne oczy Lady Leestone ciągle były na niego zwrócone.

— Czy pan go znajduje podobnym do Clydów — spytała.

— Nie — a raczej jest pewne podobieństwo. Clydowie byli zawsze bardzo szykowni i wdzięczni w postawie, w dziecku odgaduję już ten wdzięk, ale innego podobieństwa nie widzę.

— Czy pan myśli, że podobny do Lady Clyde?

— I to nie, ale jeżeli mały się wychowa będzie z niego piękny mężczyzna, — odparł.

— Niech go Bóg strzeże! — odezwała się Eleonora.

Za chwilę się rozłączyli, Lady Leestone wyszła pierwsza, a za nią Floryna.

Adryan miał uśmiech na ustach, a gdy go Eleonora o powód spytała, roześmiał się głośno.

— Moja droga — rzekł — dwa lata naszego tu życia będą bardziej ożywione, niż przyjemne. Nie mogę się wstrzymać od śmiechu, gdy patrzę na te dwie siostry. Mogą służyć za przedmiot do studyów. Lady Leestone postanowiła tu być panią, lecz i Floryna jest zdecydowana na to samo. Rezultatem będzie wojna domowa i walne „bitwy rodzinne“ jak je zowie Floryna.

— Mówiła mi że nieraz je staczały z ciotką Sabine — odparła Floryna. Teraz i ja dziwić się zaczynam że Rupert mógł powziąć skłonność do tych kobiet.

— Myślę też tak, jak ty, że nie miłość skłoniła go do zaślubienia Floryny.

.....

Następnego poranku wszyscy domownicy pragnęli zobaczyć małego dziedzica. Mężczyźni prosili o to Adryana, kobiety Eleonore. Żądanie było słuszne i naturalne. Adryan też oznajmił Lady Leestone to życzenie ogólne, a ona bardzo uprzejmie tę myśl przyjęła.

— Trzeba zadowolnić tych pocziwych ludzi — rzekła. Mały Alfred będzie przyjmował po królewsku, jak pan mówisz, w wielkiej balowej sali a cała służba mu się przedstawi. Powiem Brunton aby go ładnie ubrała i zniosła na dół.

— Może zapyta się pani Floryny, czy się na to zgodzi? — rzekł Adryan.

— O naturalnie! Ale wiem, że przystanie.

— Zrobimy z tego obrazek rodzinny, — rzekł

Adryan z radością. Umieścimy sir Alfreda na jednym z dębowych stołów, a matka będzie przy nim stała.

— Jeżeli Brunton nie sprzeciwi się temu — rzekła Lady Leestone.

— Czyż to wszystko zależy od tej Brunton? — spytał Adryan zadziwiony niepomiernie.

Lady Leestone nie była niekontenta.

— Jest bardzo zazdrosna, o swe prawa — odparła. Nie ma pan pojęcia o naszych kłopotach z dzieckiem, które było bardzo słabowite.

— Tak dodała, Brunton jest zazdrosna i przez pewien rodzaj dumy i z przywiązania, skoro Floryna weźmie malca na ręce woła, że go pani rozbije, albo zmęczy pocałunkami. Wprawdzie ma trochę racji za sobą, bo przed panem nie ma co ukrywać, że Floryna ulega wrażeniom chwili: jest nie dość taktowną.

— Mimo to jest matką, i chłopczyk, rosnąc, nie powinien nigdy uczuć, że ktoś ma do niego więcej praw niż matka. Muszę to jej kiedy wytłumaczyć, tej wszechwładnej Brunton.

— Nie możesz jej pan obrażać! — zawołała Lady Leestone.

— Nie mam tego zamiaru. Rozumiem przywiązanie nianki do dziecka, które wychowała i prawo dobrych sług do względności ze strony państwa, ale nie powinni stawać się samowolnemi. Jest w Anglii dość bardzo rozumnych kobiet do zajęcia się dziećmi.

— O nie, nie... Alfred kocha Brunton i ona jest mu oddana całą duszą. Cierpiałby bardzo, gdyby się rozłączyli, a my musimy się we wszystkim do niego stosować, bo jak już mówiłam panu dziecko było bardzo słabowite, i delikatne.

— Pojmuję troskliwość pani, ale ta kobieta nie może panować w ten sposób nad nami. Czy co do dzisiejszego zebrania mam się zwrócić do niej?...

— Sądzę że potrafię to lepiej załatwić — odparła Lady Leestone. — Nasza tyranka musi uleść — zakończyła rzecz w żartobliwie wesoły sposób.

Adryan niemniej ruszył ramionami za odchodzącą. Począł przypuszczać, że jest to komedia na to tylko obmyślana, aby jego i Eleonore trzymać zdala od dziecka. — Ta kobieta — mówił sobie, myśląc o lady Leestone — jest przebiegła i ambitna. Nie chce, abyśmy mieli jakikolwiek wpływ na dziecko i nie dopuści, aby się przywiązało do nas. Może w ten sposób panuje i nad Floryną. Zabrali jej dziecko i trzymają pod swoją kuratelą, aby tym sposobem mieć w ręku matkę, która jest słabą i leniwą, przytem nie umie sobie radzić w niczem.

ROZDZIAŁ XVI.

W pół godziny potem Adryan został zawezwany do dzieciennego pokoju, i zobaczył tam kobietę bardzo łagodnej powierzchowności, okazującą wielkie przywiązanie do malca.

Wszyscy się zgromadzili w dzieciennym pokoju aby zobaczyć Alfredka ubranego. Obecność trzech pięknych pań i dużego pana z brodą, podczas jego toalety widocznie odurzyła malca. Śliczne jego oczki patrzyły poważnie, a usteczka, podobne do pączka róży, szczelnie były zamknięte.

Lady Leestone wzięła go na ręce i postawiła na stole.

— Słuchaj, Alfredku — rzekła. — Zobaczysz dużo ludzi, którzy chcą cię widzieć, bo cię bardzo kochają, rozumiesz?

— Kiwnął główkę z poważną minką.

— Będą mówić do ciebie, a ty musisz się śmiać, nie trzeba płakać.

— Alfredek nie będzie płakał — rzekł podnosząc główkę — taka ładna sukienka! — co miało znaczyć, że w strojnej sukni płakać nie można.

— Bądź grzeczny, Alfredku, to potem pojedziesz na kucyku—rzekł Adryan.

Dziecko wyciągnęło żywo obie rączki do niego.

— Wezmiesz mnie na kucyka?—zapytał, a serce Adryana zadrżało z radości na te słowa.

— Adryanie odwoluję się do ciebie!—zawołała Floryna—czy komu choć na myśl przyjdzie, że mam też prawo do dziecka? Bona go ubiera.

— Bo to jej obowiązek—przerwała Lady Leestone.

— Moja siostra go uczy—mówiła dalej żalonym tonem.—Cóż mnie zostaje?

— Miłość dla syna—rzekła Eleonora, podając jej chłopca na ręce.—Inni mogą go ubierać i uczyć, nie odbiorą ci jednak nigdy szczęścia i prawa miłości macierzyńskiej. Zapomnij o wszystkim, Floryno, pamiętaj tylko, że przywiozłaś swego syna do rodzinnego domu jego ojca.

Floryna się rozczuliła i ucałowała Eleonorę.

— Jesteś bardzo dobrą dla mnie—rzekła.

Wszyscy razem poszli do wielkiej sali i Floryna postawiwszy syna na dużym stole stanęła, obok niego. W tej chwili była zupełnie szczęśliwą, bo czuła że odgrywa ważną rolę.

Zadzwoniono na dworskich i wszyscy weszli na salę. Adryan przemówił do nich łagodnie i poważnie przedstawiając, że jeśli ludność miejscowa, złączona od wieków ścisłymi węzłami z rodziną panów swoich winna im jest przywiązanie i szacunek to uczucia te potęgować się powinny względem sieroty.

Nie ma on ojca, który by go otoczył silnem ramieniem, oni też byli obowiązani czuwać nad nim i pilnować jego dobra, jak gdyby był dzieckiem wszystkich. Jest synem Clydów...

Ze łzami w oczach całowano małą rączkę, i wszystkie głosy życzyły długiego życia i zdrowia sir Alfredowi. On poważnie odpowiedział: Dziękuję... a każdy byłby oddał krew własną za niego.

Eleonora była niekontenta, gdy Adryan wyśmiewał podzieloną władzę nad Alfredkiem. Często gęsto Floryna staczała walki z Brunton, a on śmiał się tylko, gdy o tem posłyszał.

— Trzebaby króla Salomona, aby te sprawę rozstrzygnął—mówił do Eleonory.

Nigdy dawniej mury Clydesdale nie były świadkami tylu sprzeczek. Ale bo też teraz było tu pań tyle! Z przyzwyczajenia zwracano się po rozkazy do Eleonory w każdej trudności, choć ona już głośno oświadczyła, że nie ma tu dawniejszej władzy. Lady Clyde zarząd domy należał się z prawa i bardzo była zazdrosna o swoją godność. Chciała wszędzie rządzić, od salonu aż do stajni; ale że nie była zdolną do tego, Lady Leestone, zrodzona do rozkazywania, często ją zastępowała, z tego wynikał niesłychany chaos.

Od paru tygodni siostry bawiły w Clydesdale, kiedy kwestja zabaw została poruszona. Okoliczne rodziny odwiedziły Clydesdale i Floryna wraz z siostrą i Eleonorą pooddawała wizyty, ale na tem się skończyło.

— Na cóż się więc zdały—myślała Floryna—ładne czepki, nieporównane krepowe kostiumy od Wortha, w których, przez genialną kombinacyą tego artysty, rezygnacya zdawała się łagodzić żalobę. Cóż był z nich za użytek, jeżeli nikt ich podziwiać nie miał. Uwielbianie jej wdzienków potrzebnem jej było jak powietrze, którem oddychała. Postanowiła więc jako samowładna pani otworzyć bramy Clydesdale nie zważając na zdanie innych.

Jednego dnia gdy byli zebrani przy śniadaniu, Floryna rzuciła rękawicę mówiąc do Lady Leestone.

— Jak długo jeszcze, Klaro, będziemy się zasklepiać w tem odosobnieniu i smutku? Tęskno mi za życiem, jakie wiesz, zem wiodła poprzednio.

Wszyscy spojrzeli zdumieni.

— Nie widzę dla czego byśmy nie mieli dać jakiegos zebrań?

— Wdowy będące w żałobie, nie spraszają na zebrania—rzekła sucho Lady Leestone—jakże byś przyjmowała gości w krepie?

— Zdjęłabym krepę—odpowiedziała Floryna.

— To nie uchodzi, Floryno—rzekł Adryan—liczniejszych zgromadzeń, nie bywa nigdy w domu gdzie jest żałoba.

— Sądzę, że to ja jestem panią w Clydesdale—zawołała Floryna, odpowiadając ogólnikowo siostrze i Adryanowi.

— Nie widzę jaki to ma związek jedno z drugim—odparła chłodno Lady Leestone.

— Taki, że mogę robić co mi się podoba.

— Dobrze więc, ale jeżeli pomimo moich rad, rozeslesz zaprosiny ja zaraz wyjeżdżam—odparła Lady Leestone.

Lady Clyde spojrzała na Eleonorę.

— A ty co zrobisz w takim razie—spytała.

— Ja nie mówię, że wyjadę, ale się nie pokażę z pewnością. Byłoby to nieuszanowanie dla pamięci Ruperta.

— A ty Adryanie?—pytała dalej Floryna.

— I ja musiałbym tak zrobić. Ale nie będiesz tak nierozsądną, Floryno, aby narażać stanowisko w okolicy dla kilku godzin zabawy. Byłoby to więcej jak nierozsądkiem.

— Wszyscy są przeciw mnie!—zawołała Floryna—wszyscy zapominają że jestem młoda i mam prawo do życia!

— Nikt nie zapomina, że straciłaś dobrego i czulego męża—rzekła Lady Leestone.—Przykro mi bardzo, że brat Ruperta słyszał cię mówiącą tak nierozsądnie.

— Jeżeli koniecznie chcesz jakiej rozrywki, Floryno—rzekł Adryan,—wydaj kilka obiadów, ograniczonych do małego kołka najbliższych sąsiadów.

— Twarz jej się rozjaśniła. Nawet nudne obiady lepsze były jak nie.

— Nie lubię obiadów; ale jeżeli myślicie, że uchodzą?—rzekła niesmiało.

— Nie będą przynajmniej tak rażące, jak zebranie wieczorne—przerwała Eleonora.—Są bardzo miłe rodziny w sąsiedztwie i jeśli myślisz, że cię to zabawi, możemy dobrać bardzo przyjemne towarzystwo.

— Mogę sama sobie poradzić—rzekła szorstko Floryna. Lady Leestone zmarszczyła znowu brwi na tę niegrzeczną mowę, Eleonora przecież nie zwróciła na to uwagi. Ułożono więc że obiad będzie wydany i zaproszenia rozesłane w imieniu Lady Clyde, co pocieszyło Florynę. Nie będzie tańców, jak na balu, a Floryna już raz dała się słyszeć ze skargą, że zapomni tańczyć, ale znajdują się wielbiciele w okóło niej. Zniknął zły humor i uprzejmość wróciła; ale Adryan wstał od stołu z nieukontentowaniem. Widział że nadchodzą nowe kłopoty.

ROZDZIAŁ XVII.

Lady Clyde zajęła się sama pisaniem zaproszeń; i to napełniało ją rozkoszą. Gruby, gładki papier z herbem i dewizą Clydów, nawet ubity frazes zaprosin zaczynając się jej nazwiskiem, wszystko to ją zachwycalo. Ważne narady rozpoczęły się z paryżanką świeżo do służby przybyłą i wielka była radość, kiedy ta powaga wyrzekła, że trochę popielatego i lawendowego koloru mogło być w mieszanem do czarnego ubrania.

— Jakaż to uciecha dla mnie!—mówiła Lady Clyde.—Jednostajność czarnego koloru było już trudną do zniesienia.

Przez parę dni stała się niezwykle ożywioną. Był to jej pomysł, aby nakryć w wielkiej jadalnej sali, i użyć sławnej złotej zastawy uważanej przez znawców za jedną z najwspanialszych serwisów w Anglii.

— To mój pierwszy obiad proszony w Clydesdale—była odpowiedź na każdą uwagę—chcę aby go pamiętano.

— Strzeż się abys się nie upamiętniła śmiesznością—rzekła Lady Leestone.

Floryna się rozplakała, mówiąc że zawsze jest niezrozumiana, wkrótce jednak wypogodziła czoło, układając nowe plany przyszłej uczy.

Wyglądała jej z niepomamowaną niecierpliwością. Wchodziła często do jadalnej sali i kazała robić w urzędzeniu zmiany, które do rozpacz przyprawiały Barstona, starego, poważnego, kamerdynera.

— Służę tu, mylady, więcej lat, niż pamiętać mogę, mówił.—Służyłem za sir Rollo i za jego ojca poprzednio; ale nigdy nie podobnego nie widziałem—powiedział raz i machnął ręką, nie chcąc się dobitniej wyrażać.

Shczęściem nie uważał na rozkazy Floryny i dzięki temu wszystko zostało urządzone z należytym taktem bez bijącej w oczy ostentacyi, w której kochała się Floryna.

Nareszcie nadszedł upragniony dzień. Lady Clyde ubrała się z niezwykle starannością i piękniejsza niż zwykle, pierwsza była w salonie dla przyjęcia gości, ubiór jej był artystyczną mieszanką czarnego koloru z fioletowym; ciemne, miękkie włosy połyskiwały jak jedwab, a na palcach błyszczały brylantowe pierścienie. Gdyby nie grymas różowych ust i niespokojny wyraz oczu, Lady Clyde byłaby zupełnie ładną kobietą.

Zebranie było liczne. Najpierw przybył sir John Peters z żoną, a sir John uszczęśliwił Florynę niskim ukłonem i wyszukany komplement. Potem ukazał się sir Huldred, nazwany „Pięknością“ bo zupełnie był podobny do lalki w oknie pierwszorzędnego fryzjera. Floryna była nim zachwycona.

W tem drzwi się otwarły i weszła Eleonora, królewsko piękna w powłóczystem czarnem, krepowem ubraniu. Śnieżysta jej płeć jaśniała, podniesiona jeszcze przez czarny kolor i złoty naszyjnik, który zdobił ją jedynie, złote włosy były ułożone z wielką i poważną prostotą.

Gdy weszła, sir John i piękny Huldred pospieszyli ku niej z powitaniem, a Lady Peters nieznaną żadnej skłonności do Lady Clyde, wyciągnęła do niej rękę z życzliwością.

— Jesteś pani jak słońce—rzekła.

— Jak słońce... powtórzyła Floryna, a Lady Peters odrzekła wesoło.

— Porównanie to nastęcza się koniecznie. Pani Adryanowa jest najpiękniejszą kobietą w naszej okolicy i króluje też między nami bezspornie. Lady Clyde nachmurzyła się i milczała przez chwilę; potem rzekła nagle.

— Czy pani znajduje panią Clyde tak bardzo piękną? Mąż wprawdzie ją uwielbia; ale czyż wszyscy panowie są tego samego zdania.

— Nie może być inaczej—odparła Lady Peters. Widziałam dużo urodziwych kobiet, ale najwinnie przyznaję, że takiej piękności jak nasza Eleonora nie zdarzyło mi się spotkać. Mielśmy u siebie zeszłego lata sławnego malarza i ten wziął ją sobie za wzór do obrazu „Królowy Gwendolindy“.

— Artysci są zwykle szaleni i nikt też nie zważa na ich zdanie—odrzekła Floryna żywo.

— Droga Lady Clyde, ależ szaleństwo artystów to boskie szaleństwo. Ale zostawiając to na stronie spojrz pani na Eleonorę, co za klasyczna linja od ust do szyi. To jedno stanowiloby już piękność, choćby innych wdzięków nie miała.

Dobrze się stało dla poczciwej Lady Peters, że Lady Catherham weszła w tej chwili do salonu z dwiema uroczeni córkami. Gdyby była dłużej mówiła, Floryna byłaby ją znienawidziła na zawsze.

Po chwili wszyscy goście zgromadzili się, a Floryna chciała wszędzie przodować. Było to naturalnem, że pierwsza poszła do stołu, ale nie mogła się powstrzymać od tryumfálnego spojrzenia na Eleonorę i przenikało ją uczucie odniesionego zwycięstwa zasiadłszy na pierwszym miejscu, choć było to tylko prostem porządkiem rzeczy.

— Eleonora nie zawodnie szaleje z rozpacz—myślała—zawsze tu robiła honory domu, a te-

raz musi ustąpić miejsca. Cała jej przesławna piękność nie tu nie pomogła.

Jednakże obiad powiódł się tylko dzięki Eleonorze. Floryna paplała, śmiała się, kokietowała, ale Eleonora jedynie prowadziła rozmowę.

Prawdziwem polem bitwy był salon, kiedy po obiedzie mężczyźni powrócili do dam. Floryna wtedy uczuła coś nakształt zazdrości i nienawiści dla Eleonory, widząc się już teraz sama niższą od tej pięknej rozumnej kobiety, która miała zdanie wyrobione w każdym przedmiocie, i w każdej kwestyi społecznej; Floryna nie mogła o niczem prowadzić rozmowy, bo jej ulubionemi książkami były francuskie romanse i dzienniki mód; nie miała pojęcia o kwestjach bieżących, a tem mniej o polityce.

Sir John, który przy stole był sąsiadem, zadziwiła niewiomością historii i geografii. Nie znała zgoła stosunków Europejskich.

— Nigdy nie mogę spamiętać tych wszystkich zmian, które się wciąż dzieją w Europie — rzekła — zdaje mi się, że karta Europy zupełnie się przekształciła od czasu mojej bytności na pensyi, a zresztą trudno jest bardzo spamiętać tyle nazw.

Sir John uśmiechnął się grzecznie ale pomyślał sobie, że nowa lady Clyde nie była zanadto sawantką.

Floryna nie mogła pojąć uwielbienia i czei okazywanej pięknej żonie Adryana, dla czego wszyscy panowie starzy i młodzi otaczali Eleonorę? O czem sir John Peters rozmawiał z p. Adryanową przeszło godzinę z wielkiem zajęciem, podczas gdy mówiąc z nią przez chwilę stał jak na żarzących węglach. Albo i piękny Huldred na przykład. Tego chciała zatrzymać przy sobie, aby ludzie widzieli, że nie tylko Eleonora jest otoczona. Patrzyła na niego czarująco, jak sądziła, rozwinięła cały zasób dowcipu w rozmowie z nim, a jednak grzecznie się ulotnił, gdy zdarzyło się, że mógł przysunąć się do Eleonory.

— To nie do zniesienia — myślała biedna Floryna właśnie kiedy na nas patrzano i zaczynałam wywierać na niego jakieś wrażenie, ucieka nagle do tej sztywnej jak kij Eleonory.

Nie mogła ścierpieć takiej współzawodniczki koło swego tronu i od tego wieczora żywiła największą niechęć i zazdrość dla Eleonory.

— Nigdy nie będę panią w Clydesdale póki Eleonora będzie mieszkać tutaj — rzekła potem do Lady Leestone.

— I ja tak myślę, Floryno.

— Wszyscy się nią zachwycają, a przecież pewna jestem, że mogę znieść porównanie.

— Może to nie jest tylko kwestja powierzchowności, Floryno; czy nie przypuszczasz, aby kobieta pociągała i czemś więcej jeszcze — odparła Lady Leestone z lekkim szyderstwem.

ROZDZIAŁ XVIII.

Eleonora, a więcej jeszcze Adryan pragnęli mieć własny dom, postanowili też prędzej niż to było ułożonem poprzednio wynieść się do Greenowes, ale tak wszyscy przywykli w ważniejszych rzeczach zwracać się do niej, tak zdawała się być ciągle duszą domu, choć usuwała się na bok, stawiając zawsze Florynę na przód, że wyjazd jej z zamku zdawał się niepodobieństwem prawie. Nawet dziecko więcej się przywiązało do Eleonory niż do Floryny. Co chwila słyszeć było można dzwiczny głosik, wołający.

— Chcę do cioci Nory!

— To nie do wytrzymania — mówiła sobie Floryna Eleonora jednak tak była przebaczącą i łagodną, że nigdy nie zważała na cierpkie słowa Floryny i nie podnosiła żadnej zaczepki.

Raz mały Alfred zakatarzawszy się, nie wychodził z pokoju dni parę, lecz Eleonorze zdawało się właśnie, że świeże powietrze uzdrowiłoby go niezawodnie. Malec siedział u niej na kolanach i prosił aby mógł wyjść na spacer. Ponieważ Brunton pojechała do miasteczka dla załatwienia sprawunków dla dziecka, nie było głównego mistrza ceremonii do tych rzeczy i Eleonora wzięła to na swoją odpowiedzialność. — Pozwól mu przejść się Floryno — prosiła. — Jestem pewna że mu to nie zaszkodzi. Wygląda jak kwiatek z cieplarni po tak długim zamknięciu.

— Nie pójdzie — zawołała Floryna. — Czyż matka nie wie co jest dobrem dla dziecka?

— Zapewne że wiesz to lepiej — odparła uśmiechnięta Eleonora, ale każdy z nas może się mylić niekiedy i w tem się mylisz moja droga. Świeże powietrze jest koniecznie potrzebne dla dziecka. Floryna aż tupnęła z uniesienia.

— Byłabym najszczęśliwszą — zawołała gdybyś się do dziecka nie wtrącała. Już i tak do wszystkiego się mieszasz, zostawże mi choć dziecko. Pewnobyście się nie zmartwili ty i twój mąż, gdyby Alfred zachorował.

— Nie mów tak Floryno! — rzekła Eleonora z powagą, ale spokojnie. Zapominasz się. Niech Bóg strzeże małego. Dla Adryana i dla mnie, syn Ruperta jest czemś świętem.

— Syn Ruperta! zawsze syn Ruperta! — zawołała Floryna. Znudzona jestem słysząc zawsze to samo! Jest przecież i moim synem, a nikt o tem nie pamięta. Jestem pomijana w domu; gdzie powinien być pania, nie zniosę tego dłużej i nie dbam o to kto mnie słyszy.

— Ale mnie obchodzi, to co mówisz — przerwał spokojny głos mężki.

Obróciwszy się Lady Clyde ujrzała Adryana stojącego we drzwiach ze zmarszczonem czołem. Obiejrzał się jakby szukając kogoś jeszcze i bardziej się spochmurniał zobaczywszy, że tylko Eleonora była w pokoju. Do niej więc stosowały się słowa Floryny.

— Czy to podobna Floryno — rzekł — abyś mówiła tym tonem i w takich słowach do mojej żony?

Floryna zaczęła płakać. Czy bywały zawsze zwyciężkim środkiem w zajściach z Rupertem; sprobowała tego sposobu względem Adryana, ale ten został niewzruszony.

— Czy nie są odpowiedzią — rzekł — jak mogłaś się tak zapomnieć względem Eleonory?

— Bo Eleonora jest bardzo niedobrą dla mnie — łkała Floryna. — Za nic mnie nie ma.

— Moja żona daleka jest od podobnej myśli — rzekł Adryan poważnie — jest tak dobrą i cierpliwą jak nikt w świecie.

— Ale Adryanie osądź sam, czy nie powinnam najlepiej wiedzieć co jest potrzebnem dla mego dziecka?

— Niewątpliwie powinnas, ale nie jestem wcale pewny, czy wiesz.

Wtedy Eleonora zbliżyła się do Floryny, i z niewyczerpaną słodyczą, objęła ją ramieniem.

— Moja droga Floryno — rzekła — może nie słusznie mieszałam się do dziecka, ale chciałam tylko jego dobra. Przebac mi, nie powinnymy nigdy być w niezgodzie, Floryno. — I piękna twarz pochyliła się ku Lady Clyde z anielskim uśmiechem.

Adryan milczał, ale w duszy niekontent był, że żona okazała się za miękka, zabrał ją ze sobą, a gdy szli przez korytarz przyciągnął ją do siebie.

— Eleonoro, powiedz mi — zapytał — czy miałaś już dużo przejść podobnych?

— Jestem dziś winna Adryanie. Wiem że Floryna ma swoje dziwactwa i nie powinnam była ją zaczepiać.

— Posłuchaj mnie, najdroższa — rzekł. — Nie pozwolę nikomu przemawiać do ciebie w ten sposób. Nie możemy zostać tu dłużej. Zobaczysz ta kapryśna i zuchwała kobieta co zrobi bez ciebie?

Adryan dotrzymał słowa, w kilka dni potem wyjechano do Greenowes, mimo to ułożono po przyjacielsku, że Adryan będzie zarządzał majątkiem aż do pełnoletności Alfreda. Zdejmowało to z bark Floryny wielki kłopot i oszczędzało jej wiele pieniędzy, a Lady Clyde mimo lekkomyślności była chciwą. — Nie godzi się wyrzucać pieniędzy mówiła — można za to kupić tyle ładnych rzeczy, co miało się rozumieć; tyle strojów.

ROZDZIAŁ XIX.

Adryan i Eleonora urządzili się wygodnie w nowej siedzibie. Eleonora nie zazdrościła stanowiska Florynie; przywiązała się do Clydesdale, bo było to rodzinne gniazdo jej męża, ale nie pragnęła tam rządzić. Skoro Floryna jej potrzebowała, zawsze była gotowa z pomocą i nieraz widziano powóz jadący z Clydesdale do Greenowes z prośbą od Lady Clyde, aby Eleonora na cały dzień przyjechała. A gdy Floryna nadużywała jej cierpliwości mówiła w duchu.

— To wdowa Ruperta i dla niego muszę być cierpliwą.

W Greenowes życie płynęło bardzo miło, ale zarazem bardzo cicho. Adryan był obarczony interesami, a jeżeli kiedy piękna twarz Eleonory zalała się łzami nikt o tem nie wiedział: jeżeli kiedy, o zachodzie słońca klęczała z rękami wzniesionymi ku zachodowi, nikt nie był tego świadkiem. Miała chwile słabości, tęsknoty i smutku, ale dla ludzi okazywała zawsze twarz pogodną.

Po wiosnie przyszło nareszcie lato, lato którego Floryna tak niecierpliwie wyglądała, bo już mogła, trzymając się ściśle terminu, zdjąć żalobę i okazać się w całym blasku różnobarwnych strojów.

— Od niepamiętnych czasów był w Clydesdale zwyczaj, że w dniu 24 czerwca, wydawał dwór obiad, na który proszono znaczniejszych dzierżawców. Na drugi dzień bywała ogólna zabawa w parku, w której brała udział cała ludność miejscowa, mężczyźni, kobiety i dzieci. Wszelkie rodzaje zabaw bywały urządzone. Tańce, strzelanie z łuku, huśtawki dla dzieci, wyścigi dla mężczyzn, przyczem namioty z chłodnikami były suto zaopatrzone. Ludzie wyglądali tej fety rok cały i Adryan powiedział o tem Florynie, pytając się czy chce zachować zwyczaj?

— Musi to wiele kosztować — rzekła Floryna.

— Nie tak wiele, jak ci się zdaje — odrzekł.

— Ale rzecz jest straszliwie nudna. Do czego to podobne? Niech myślą, że nie nie wiem o tem...

Lady Leestone przyszła w pomoc Adryanowi.

— Nie możesz zmieniać zwyczaju uświęconego latami, bez narażenia się na niezadowolenie, Floryno.

Lady Clyde przystała niechętnie. Gdyby to był obiad dla magnatów z sąsiedztwa budziłby jakieś zajęcie, ale dla ludności wiejskiej, dla dzierżawców. Z miną wielkiej pani, obróciła się do Adryana.

— Prawdziwie, Adryanie, nie czuję się na siłach, aby podołać roli gospodyni. Proś odemnie Eleonory, aby tu przybyła na parę dni. Przyjedź z nią i urządzcie to za mnie.

(Dalszy ciąg nastąpi)